

Walentynki
[One-Shot] [Slice of Life] [Shipping] [Happy End]
Madeleine (alias Gacinka)

Irwinowi, bo myślotok. (I nawiasy.)
I rozmowa o budzikach.
(I więcej nawiasów. Nawiasów nigdy dość.)

Cinnamon Cake zawsze była nieco przewrażliwiona na punkcie swojej grzywy.

Nie, żeby była jakąś próżną, głupiutką klaczką, która spędza całe dni na wpatrywaniu się we własne odbicie w lustrze. Po prawdzie, wygląd zewnętrzny niewiele ją obchodził (oczywiście, wszystko w granicach rozsądku; uwielbiała długie kąpiele, które doprowadzały do szału jej matkę – „Cinnamon, wyjdźże wreszcie z tej łazienki, inni też chcą skorzystać, do wszystkich diabłów!” – zęby szorowała po każdym posiłku, jak Celestia – i dentyści – przykazali, starannie szczotkowała ogon, a kopytka miała zawsze czyste i wyszlifowane) – mogła nie wyglądać zbyt ładnie, mogła sprawiać wrażenie nieco niechlujnej, ale ten jeden element musiał być perfekcyjny.

Klaczka od zawsze nosiła długie włosy. Jasnobrązowe pukle lśnącymi pasmami opadały jej na plecy, a niebotycznie długą grzywkę zaczesywała zawsze na prawą stronę.

W ten sposób nie było widać jej aparatu.

Nie pamiętała, kiedy dokładnie zaczęła tracić słuch. Było to jeszcze w dzieciństwie. Po prostu pewnego dnia mama poczęła narzekać, że Cinn nie przychodzi, gdy się ją woła na obiad.

Nic szczególnego. Można by właściwie uznać, że Cinnamon nie przychodziła wyłącznie z powodu marnej jakości wyżej wspomnianego posiłku, bo talentem kucharskim w rodzinie Cake’ów odznaczała się wyłącznie babcia, a jej córka, niestety, nie wyssała z mlekiem matki nawet odrobiny tych umiejętności. (Pewnie dlatego że ani mama, ani wujaszek Pound ni diabła nie mieli ochoty pić mleka swojej mamy, toteż od pierwszych dni życia byli karmieni syntetycznymi mieszkankami; nie, żeby wyszło im to na zdrowie, skoro jedno z nich wyrosło na zwariowanego pseudonaukowca potrafiącego wysadzić w powietrze każde pomieszczenie, w którym znajdowało się dłużej niż pięć minut, a drugie wykladało filozofię na Uniwersytecie Manehattańskim i jeszcze namiętnie uprawiało medytację trybetyńskich mnichów.)

Naprawdę nic szczególnego.

A jednak nie.

Rodzice w końcu połapali się, że coś jest nie tak; natychmiast zawieźli córkę do lekarza dziecięcego. Pani doktor osłuchiwała, obadawała, spojrzała na rodziców z dziwną miną wyrażającą jednocześnie smutek, troskę i współczucie i powiedziała: „Postępujący niedosłuch”.

Cinnamon nie pamiętała nigdy, żeby widziała swoją mamę płaczącą. Właściwie przez te wszystkie lata – szesnaście, Celestio Najnadobniejsza, jak ten czas szybko leci! – nie dostrzegła nawet drobnych kropel łez czających się w kącikach jej oczu, gdy oglądały razem wzruszający film i Cinn wyła bez opamiętania, kiedy On całował Ją, a Ona gładziła Go po włosach; wtedy, podczas tamtej pamiętnej wizyty, mama płakała jak bóbr.

Klaczka tego nie pamiętała. Była wtedy jeszcze zbyt mała. I wtedy jeszcze słyszała

na oboje uszu.

Zgodnie z zapowiedzią lekarki, niedosłuch postępował. Nie można było nic na to poradzić. Leczenie farmakologiczne nie działało, operacja nie wchodziła w grę, bo lekarze bali się, że jeszcze bardziej pogorszą stan delikatnych dziecięcych uszu. Cinnamon rosła więc, mając za przyjaciół aparaty słuchowe – małe, douszne, kolorowe, potem, kiedy już przestała być oseskiem, a zaczęła być panienką, białe, bo z kolorowymi wstyd się pokazać na mieście. A potem, pewnego przyjemnego, choć mroźnego styczniowego wieczora, drugi aparat przestał jej być potrzebny.

Obecnie Cinnamon słyszała wyłącznie na prawe ucho.

Trzeba przyznać, że klaczka radziła sobie całkiem nieźle z faktem, że jest nieco inna od swoich rówieśników. Miała wsparcie w rodzinie – mamie, która non stop jej powtarzała, że trzeba być twardym, a nie miękkim i że ma przestać się mazgać (gdyż dobrym powodem ku tego nie jest bynajmniej to, że na podwórku znowu jakiś idiota wyzywał ją od głuchych, bo podczas meczu nie usłyszała, w którą stronę ma się rzucić i przepuściła finałowego gola); tacie, który zwykle nie mówił nic, ale od czasu do czasu, kiedy było bardzo źle i Cinnamon zamieniała się w jedną wielką mokłą od łez kulkę sierści, przytulał ją i głaskał po grzywie w sposób tak nieporadny, że niezmiennie jej ją plątał; siostrze, która była jeszcze mała i dość głupia, ale cierpliwie powtarzała każdemu, kto chciał jej słuchać, że jej siostra jest „głucha, ale to nic złego, bo każdy może być głuchy” (Melasa bardzo chłonęła to, co się na ten temat mówiło w domu, a że dzięki bogom nie robiono z tego wielkiego problemu, Cinn nawet w tej małej, nierozgarniętej istocie miała coś na kształt wsparcia); dziadkach, którzy początkowo, oczywiście, byli przerażeni, ale potem przywykli i zachowywali się wobec niej tak samo jak zawsze („Dołożyć ci ciasta, Cynko?” „Nie, babciu, zjadłam już pięć kawałków!” „No to ci dołożę...”); wreszcie – w wujku Poundzie, jej ojcu chrzestnym.

Właśnie. Wujek.

Pound Cake był dla niej niczym wyrocznia. Zawsze, kiedy miała problem, kierowała swe kroki najpierw ku niemu – tak było od zawsze. Kochała swoich rodziców ponad życie, ale to spokojna, zrównoważona, mocno oderwana od brudnej, materialnej rzeczywistości osoba wujka była dla niej oazą, w której mogła nabrać sił i opanować nerwy.

To było czymś całkowicie naturalnym.

Najgorzej było chyba w okresie gimnazjum. Z powodu jej niepełnosprawności, która akurat w tamtym czasie mocno dawała jej się we znaki, wymuszając na niej liczne wizyty u tuzinów specjalistów, jej życie towarzyskie stało się nie do zniesienia. Cóż, dzieci bywają okrutne, za to młodzież w wieku lat kilkunastu – głupia i małostkowa. Zresztą, Cinn nigdy nie była taka, jak jej młodsza siostra, Melasa – energiczna, rozbrykana, wesoła... Nie była żywym srebrem. Jeżeli wierzyć temu, kto stwierdził kiedyś, że milczenie jest złotem, to można by uznać, że ona wybitnie gustowała w złocie.

Liczne upokorzenia sprawiły, że Cinnamon jeszcze bardziej zamknęła się w sobie, a na pojawienie się jakiegokolwiek problemu zaczęła reagować niczym pies Pawłowa – mówiła rodzicom, że jedzie do Taltown, wsiadała w pociąg i po niecałej godzinie była na miejscu, poza miastem, w wielkim domu wuja. Drzwi otwierał zwykle wujaszek, zapraszał ją do środka, robiąc zamaszysty ruch kopytem i uśmiechał się pokrzepiająco. Ona zajmowała miejsce na kanapie w salonie, ciocia Malina, która w tym czasie zazwyczaj krzątała się po swoim kuchennym królestwie, zaraz stawiała przed nią wielki kubek parującego kakao, a potem siedzieli we trójkę (albo we dwójkę, jeśli akurat ciocia miała do zrobienia jedną

z Tysiąca Rzeczy Na Już), rozmawiali, a gdy zaszła potrzeba, wujek z delikatnością motyla ocierał jej łzy.

I uśmiechał się, zawsze się uśmiechał.

To on przekonał ją, że nie ma się czym przejmować, że powinna szukać przyjemności, nawet jeśli w pierwszej chwili niektóre wydają jej się niedostępne. Powtarzał, że największą wartością dla kucyka jest spokój – płyn z prądem, bierz to, co daje ci los... Owszem, czasem rzuca kłody, ale czy to naprawdę takie złe? Im więcej kłód przeskoczysz, tym będziesz silniejsza i tym dalej zajdziesz na własnych nogach, kiedy droga będzie już prosta i równa.

Jego podejście, mimo że tak strasznie klóciło się z tym, co czuła Cinnamon, gdy tak siedziała na wytartej kanapie, omaszczając łzami gorące kakao, działało na nią uspokajająco.

W obliczu tego wszystkiego dość dziwny wydawał się fakt, że specjalnym talentem Cinnamon Cake była muzyka, a ona sama uczyła się obecnie w najlepszej szkole muzycznej we Wschodnim Manhattanie.

Zabawna to rzecz, życie.

Oczywiście, to wszystko nie było takie proste. Właściwie, decyzję o tym, co naprawdę chce robić, podjęła na ostatniej wigilii, a udział w tym miał jej wujek i parę innych osób. No i jeszcze drobną wskazówką było to, że akurat wyskoczył jej znaczek.

Nigdy w życiu nie była z niczego tak dumna jak z tego bursztynowego klucza wiolinowego na tyłku.

To zabawne, bo wszyscy wiedzieli o jej talencie wcześniej niż ona sama. Od małego uczyła się grać na instrumentach – skrzypcach, gitarze, chociaż najbardziej podchodziło jej pianino, wujek miał takie, lśniące i piękne, kuszące głęboką czernią – bo, mimo stopniowej utraty słuchu, wykazywała ku temu zdolności, a rodzice nie zamierzali jej ograniczać tylko dlatego że – olaboga! – niewiele słyszy. W ogóle, co to jest za powód – nie grać, bo nie słyszy się tego, co się gra? Bzdura!

Cinnamon wielbiła muzykę ponad życie i odnajdywała przyjemność w jej tworzeniu, chociaż dla niej, z obiektywnych względów, było to podwójnie trudne. Kochała to jak nic innego, chociaż do tej pory swoją pasją dzieliła się wyłącznie z nauczycielkami gry oraz najbliższą rodziną, bo wstyd przed ewentualną porażką był jednak zbyt wielki.

Bogowie, jakże była wdzięczna rodzicom, że nie myśleli stereotypowo!

Czasem przychodziło jej do głowy, że to wszystko jest bez sensu – w chwilach, kiedy coś po raz setny jej nie wychodziło, kiedy nie potrafiła zagrać najprostszego przejścia, kiedy dźwięki mieszały jej się w głowie, składając się na nieokiełznany jazgot – ale nie poddawała się; bliscy nie pozwalali jej się poddać. Gdyby nie oni, dalej uczęszczałaby na nudny profil w przeciętnym ogólniaku, a potem całe życie była nieszczęśliwa, robiąc to, co nijak nie sprawia jej radości.

Bogowie, jak ona kochała swoją popieprzoną rodzinę.

Rzecz jasna, nagle olśnienie co do ścieżki życiowej nieco skomplikowało życie nie tylko klacze, ale też wszystkim, którzy mieli z nią do czynienia – znaczek wyskoczył jej dość późno i Cinnamon od września uczęszczała już do innej szkoły, ogólniaka, na profil administracyjny, który guzik ją obchodził. Wtedy jednak, w tej jednej chwili, dotarło do niej, że jeżeli teraz czegoś nie zmieni, jeżeli teraz się nie odważy... nie odważy się nigdy.

Była szalenie wdzięczna swoim rodzicom, że tak ją wtedy wsparli – nie miała pojęcia,

jak udało im się załatwić, żeby córka mogła dołączyć do pierwszej klasy w połowie roku szkolnego. Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna II stopnia im. Ludwiga van Beethovena w Manhattanie nie była miejscem, gdzie mógłby się uczyć byle kto – trzeba było posiadać odpowiednie umiejętności, pozdawać trudne egzaminy wstępne i to nie tylko z zakresu muzyki, ale i wszystkich innych dziedzin, których tam – dość niezwykle – nauczano jak w każdym innym ogólniaku... A i to nie był koniec. Cinn musiała zaliczyć wszystkie przedmioty z pierwszego semestru i to w stopniu zadowalającym samą panią dyrektorkę, która nad całym procederem czuwała – gdyby ona na jakimkolwiek etapie powiedziała „nie”, wszystkie wysiłki poszłyby na marne.

Nie powiedziała.

Podczas gdy inni spędzali ferie na obozach, w górach albo w ciepłych krajach, szusowali na nartach albo wylegiwali się do późna w łóżku, popołudniu wyciągali przyjaciół na kręgle, a wieczorami wygrzewali się w ciepłym domu z książką przed nosem – ona kuła, ćwiczyła, stawiała się przed kolejnymi komisjami i zaliczała egzamin za egzaminem.

Gdyby Cinnamon pamiętała cokolwiek z tego okresu, prawdopodobnie byłaby szczerze zdumiona, że udało jej się dokonać czegoś takiego w tak krótkim czasie i nie paść ze zmęczenia albo nie skoczyć z okna z rozpaczą, że jest tego tak dużo – na szczęście była tak zdeterminowana (pierwszy tydzień), a potem wykończona (drugi tydzień), że się nad tym w ogóle nie zastanawiała.

Dzień, w którym dostała potwierdzenie, że wszystko jest w porządku i może od nowego semestru dołączyć do klasy pierwszej o specjalizacji „instrumenty klawiszowe”, zapisał się w jej pamięci jako najbardziej euforyczny dzień w całym jej szesnastoletnim życiu.

A kiedy ekstaza wreszcie zelżała, przyszedł koniec ferii i Cinnamon uświadomiła sobie z przerażeniem, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo.

*

Początki zawsze są trudne.

Cinn przekonała się o tym najlepiej, kiedy w ostatnim tygodniu stycznia szła wypełnionym uczniami korytarzem, usiłując ustać na trzęsących się jak w febrze nogach. W jej wyobrażeniach ten dzień miał wyglądać nieco inaczej... lepiej. Chociaż nie – właściwie nie wyobrażała go sobie wcale. Zbyt była zaaferowana trudnymi egzaminami, które do ostatniej kropli wyżyły z niej siły vitalne. Po teoretycznych bolał ją mózg, po praktycznych – wszystko inne. Zresztą, przez cały ten czas była święcie przekonana, że i tak nic z tego nie wyjdzie, a doświadczenie nauczyło ją, że nie należy układać sobie w głowie miłych planów odnośnie przyszłości, kiedy ta przyszłość jest kolosem na glinianych nogach.

Nie miała więc wizji, jak będzie wyglądał jej pierwszy dzień w nowej szkole, ale może i lepiej, bo w jej fantazjach na pewno byłaby mniej zahukana, przerażona i nie miałaby aż tak wyschniętego gardła.

Życie to pasmo mniejszych i większych sukcesów – powtarzała sobie w myślach słowa wujka, które poprawiły jej humor, mimo że nie miały absolutnie nic wspólnego z obecną sytuacją. Trzęsa się cała, szczekała zębami jak w gorączce, a kopyta miała tak lodowate, jakby je dopiero co wyciągnęła z chłodni – a wszystko po to, by tego samego dnia wieczorem, na pytanie rodziców: „Jak było?” (zadane, gwoli ścisłości, wyjątkowo entuzjastycznie, ale

również – Cinnamon wyczuła to doskonale – podszyte sporą dawką niepokoju), odpowiedzieć zgodnie z prawdą (i lekkim zdziwieniem): „Dobrze”.

Było dobrze.

Na wstępie została przedstawiona swojej klasie przez wychowawczynię, a potem usiadła obok klaczki o oczach w kolorze morza w lipcu (dziwne, że akurat ten szczegół zapamiętała, a przyswojenie sobie jej aparycji, która, swoją drogą, była dość specyficzna – turkusowa sierść oraz długa, łabędzia szyja, na którą szeroką kaskadą opadała burza ciemnozielonych, gęstych loków – sprawiało Cinn trudności przez kolejne dni) i starała się udawać mniej przerażoną, nim była w rzeczywistości.

Nie patrzyła w stronę nowej koleżanki, żeby nie zemdleć ze stresu.

Na szczęście klaczka obok nie miała takich zahamowań.

Zerknęła na nią raz i drugi („Przestań się na mnie gapić” – błagała w myślach Cinn, nerwowo poprawiając grzywkę, żeby nie prześwitywał przez nią aparat), przekręciła zabawnie głowę, tak że jej loki opadły na ławkę, wyprostowała się, uśmiechnęła, a potem powiedziała:

– Wszyscy mówią do mnie Marta, ale ty tak nie mów.

Cinnamon nie była przekonana, czy dobrze usłyszała – powiedzenie komuś, jak się ma na imię, a potem zastrzeżenie, żeby nie zwracać się do niego tymże imieniem, było – nawet jak na standardy osoby odchowanej przez zwariowaną rodzinę Cake’ów, w której nikt nie był do końca normalny – dość... niecodzienne. Zamrugła oczami i odważyła się podnieść wzrok na Martę-do-której-nie-można-mówić-Marta – i ujrzała w jej niebieskich tęczęwkach czający się na pograniczu duszy i spojówki łobuzerski uśmiech.

– Naprawdę mam na imię Myrtle – odezwała się znowu nieznajoma-choć-teraz-już-właściwie-znajoma. – Nie wiem, czemu wszyscy wymyślili sobie tę Martę. Mówię ci o tym, żebyś wiedziała, o kogo chodzi, kiedy w rozmowach usłyszysz to imię. Pamiętaj jednak, że mnie ono wkurza, a kucyki powtarzają, że jak się wkurzam, to zamieniam się w tajfun, więc lepiej się nie podstawiaj.

Cinnamon bardzo powoli kiwnęła głową. W klasie panował szum, z przodu produkowała się nauczycielka od stylistyki języka equestriańskiego (ale nie za bardzo, w końcu to była pierwsza lekcja po feriach, każdy miał jeszcze niewielkiego lenia po dwutygodniowym wypoczynku), klaczka zaś nie chciała uronić ani słowa z tego, co mówi, a jednocześnie była ciekawa tego... zaraz, jak by powiedział wujaszek? o, właśnie – indywiduum, które siedziało obok niej i się gapiło, ach, jak intensywnie się gapiło.

Myrtle w pewnej chwili zmarszczyła brwi, po czym z rozmachem walnęła się kopytem w czoło.

– Ach, no jasne! – zawołała, zwracając na siebie uwagę większości klasy oraz nauczycielki. Cinn skuliła się na krześle i zapłonila się, czując, jak wzrok wielu osób pełźnie po jej twarzy, mimo że wcale tego nie chciała. – Wybacz, nie podałam ci nawet kopyta. – Wyciągnęła nogę w jej kierunku, a kiedy Cinn nie zareagowała, sama chwyciła ją za kopytko i gwałtownie nim potrząsnęła. – Rozumiem, pierwszy dzień – powiedziała i mrugnęła do niej porozumiewawczo. – Wiesz, Cinnamon (dobrze zapamiętałam? Wybacz, nie mam pamięci do imion), doskonale cię rozumiem. Sama zmieniałam szkołę kilka razy i wiem, jak to jest. Nowe środowisko, nowe kuce... wszystko wydaje się obce i dziwne. Ale nie przejmuj się. – Oplotła szyję koleżanki i przygarnęła ją do siebie jak małą klaczką, którą, po prawdzie,

w tamtym momencie Cinn czuła się tak bardzo, jak to tylko możliwe. – Wszystko ci tu pokażę, z każdym cię zapoznam. Ze mną nie zginiesz. Wydajesz się sympatyczna, a ja lubię osoby, które są sympatyczne, dlatego postanowiłam, że wezmę cię pod swoją kuratelę. Cieszysz się?

– Dziewczęta, czy ja wam czasem nie przeszkadzam?

Cinn ośmieliła się podnieść wzrok na nauczycielkę, ale zaraz potem go opuściła, widząc, jak ta siedzi na zadzie z założonymi kopytami i niecierpliwie postukuje kopytkiem w podłogę. Jej spojrzenie wyrażało zniecierpliwienie i irytację.

Myrtle wyszczerzyła zęby i pomachała pani kopytkiem.

– Nie, spoko, pani Megg. Może pani kontynuować.

Klasa parsknęła śmiechem, a pani Megg – Cinn powtórzyła sobie kilka razy w myślach to nazwisko, żeby zapamiętać – początkowo zrobiła groźną minę, ale potem też się uśmiechnęła i nawet zachichotała pod nosem.

Myrtle rzuciła ziemskiej klaczce łagodne spojrzenie.

– Tutaj jest spoko, Cinn. Spodoba ci się.

W jej oczach było coś takiego, że – mimo iż rozsądek i doświadczenie zaprzeczały, potrząsając gwałtownie głowami – Cinnamon uwierzyła jej na słowo.

*

Zapoznanie z klasą przebiegło bez większych problemów. Zaraz po pierwszej lekcji (na której Cinnamon nie zanotowała ani słowa, bo siedząca obok Myrtle raz po raz zagadywała ją swoim energicznym, mocnym, nieznoszącym sprzeciwu tonem, a ona była zbyt lekliwa i zbyt nowa, żeby powiedzieć, by ta się uciszyła) wokół Cinn zebrał się spory tłum – wielość ciekawskich spojrzeń rzucanych w jej stronę spod równo przyciętych grzywek, daszków od czapek i sterczących irokezów przygwoździła ją nieco do podłoża, nie pozwalając się ruszyć. Znów poczuła, że zaczynają drżeć jej nogi, zupełnie jak kilka godzin wcześniej, kiedy przemierzała zatłoczony korytarz w poszukiwaniu gabinetu swojej wychowawczyni i miała wrażenie, że wszyscy idą w przeciwnym kierunku, a tylko ona brodzi pod prąd.

Myrtle poklepała ją uspokajająco po grzbiecie i ten niewielki gest sprawił, że Cinnamon na powrót odzyskała możliwość logicznego myślenia. (A przynajmniej mogła potakiwać.)

Turkusowa klacz posłała jej krzepiący uśmiech (chyba setny tego dnia, ale Cinn potrzebowała wtedy dużo, dużo, całe mnóstwo krzepiących uśmiechów), po czym wyciągnęła kopytko i wskazując po kolei każdego z osobna, przedstawiła Cinnamon kolegów z klasy.

– Ultra Bass. Violet. Crystal Case. Creamy. Violin Tape. Amber Line. Caramel Line, siostra Amber. Lucy...

Imiona mieszały się w myślach Cinn i mimo że starała się zapisać ich w głowie jak najwięcej, zebrać w umyśle w pary twarze i imiona, nie zapamiętała żadnego.

No, może poza jednym.

Wysoki, szczupły ogier z rozczochraną, czarną jak smoła grzywą wyskoczył przed szereg i przypadł do niej, wyrzucając z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

– Cześć, jestem League! – powiedział, zanim Myrtle zdążyła go przedstawić. Przysunął się bliżej, a kiedy Cinn zapobiegawczo postąpiła krok do tyłu, podążył jej śladem. – Fajnie, że się do nas przeniosłaś. Ta szkoła jest naprawdę super. Znaczący, wiesz, nauczyciele cisną i takie tam, prawie bym nie zdał z jednego przedmiotu, ale jakoś się wybroniłem, a powiem ci, że ciężko było, ale moja inteligencja w połączeniu z urokiem osobistym...

– Tak, tak – przewróciła oczami Myrtle, odpychając nieco narwanego jednorożca. Rzuciła Cinnamon kontrolne spojrzenie, niczym matka, która spoziera na żrebię bawiącą się w parku. Ta odpowiedziała jej słabym uśmiechem i kiwnęła głową, mówiąc bezgłośnie, że wszystko jest w porządku. – Urok osobisty to ty masz, ale chyba go nie wzięłaś z domu. Opanuj się, stresujesz Cinn.

Cinnamon zarumieniła się i wbiła wzrok w podłogę. Sam fakt, że ktoś zdawał sobie sprawę z jej nieśmiałości (właściwie nie było możliwości, by dało się NIE zdawać sobie z niej sprawy, wszak jest to pierwsze, co przychodzi do głowy, gdy widzi się istotę skuloną, zaróżowioną, drżącą i w dużym tłumie – no, może zaraz po pierwszej, niepokojącej myśli, że owa istota akurat przechodzi zawał), sprawiał, że stawała się nieśmiała w jeszcze większym stopniu. Odzywała się niewiele, właściwie tylko kiwała głową i usiłowała się uśmiechać, w sumie nawet chciała, wszyscy wydawali się tacy mili... Poczuła nawet, że jest akceptowana. Poczuła, że może będzie lubiana. Potrzebowała tylko chwili czasu, ale miała wrażenie, że wszystko będzie dobrze.

Nawet nikt nie zwrócił uwagi na jej aparat. Wszyscy o tym wiedzieli, zostali odpowiednio wcześniej poinformowani o drobnym, a właściwie nie tak drobnym, ale drobnym brzmi lepiej, problemie nowej uczennicy, o czym Cinnamon dowiedziała się od wychowawczynie, kiedy ta prowadziła ją na pierwszą lekcję i zasypywała mnóstwem uwag, z których, na szczęście, Cinn nie zapamiętała żadnej, bo pewnie stresowałaby się o wiele, wiele bardziej („Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz” – mawiał dziadek, a wiedział, co mówi, bo był w tak zaawansowanym wieku, że zaczynały się pojawiać u niego początki demencji).

Kucyki nie patrzyły na nią jak na okaz w ZOO. Nie pokazywały jej kopytem i nie szeptały między sobą, milknąc nagle, kiedy jej wzrok skupił się przypadkiem na ich twarzach. Właściwie, wszyscy byli życzliwi, pomocni i zachowywali się tak, jak zachowałby się każdy w towarzystwie nowopoznanej osoby.

Wszyscy, z jednym drobnym wyjątkiem.

Ciemnogrzywy ogier, który z werwą przedstawił się jako League-mam-urok-osobisty-bójcie-się, nie zważając na protesty Myrtle, przesunął się znowu na przód szeregu. Spojrzenia jego i Cinnamon się spotkały, a w fioletowych oczach klaczka dostrzegła jakąś niezdrową ciekawość i kiedy League otworzył usta, wiedziała już, że wyjdzie z nich coś, co zapamięta na długo.

– Wcale nie wydajesz się przygłucha.

... bo na długo zapamiętuje się tylko słowa, które ranią.

Zapadła cisza. Cinnamon poczuła, że krwisty rumieniec znów wpęła na jej szyję, a potem zalewa policzki, chrapy i czoło. Rozejrzała się lękliwie – oczywiście, mimo gwaru, wszyscy słyszeli uwagę League’a. Teraz wymieniali nawzajem zakłopotane spojrzenia, a jej oczu unikali jak ognia, odwracając głowę w stronę ścian.

Cinn przełknęła ślinę, ale to niewiele pomogło. Dwie wielkie łzy spłynęły jej po policzkach, znacząc na twarzy mokry ślad. Klaczka wykręciła się na pięcie i potruchtała

w drugą stronę, przepychając się między zdezorientowanymi uczniami, a właściwie nie przepychając się, bo widząc jej stan, wszyscy jak na komendę rozeszli się na boki, robiąc jej przejście.

Klaczka nie słuchała już nawoływań Myrtle i jej bluźnierstw pod adresem League'a (nie skupiała się na tym, a kiedy się nie skupiała, dźwięki często przemykały się przez jej umysł, nie goszcząc tam na dłużej; w normalnej rozmowie była to udręka, ale trzeba przyznać, że taka sytuacja miała też swoje dobre strony – Cinn była pewna, że dzięki temu ominęło ją wiele gorzkich słów, które – jak wmawiała sobie zaciekle i z energią – padały pod jej adresem ze strony mijanych przez nią kucyków). Chciała jedynie uciec, uciec jak najdalej – od tłumy koleżanek i kolegów, którzy nagle nie wiedzieli jak się zachować (bo nikt nie wie, jak się zachować, kiedy ma się do czynienia z osobą niepełnosprawną, nie uczą tego na kursach *savoir-vivre'u*, nie rozmawia się o tym w domach, a jedynie znaki na parkingach i na drzwiach toalet w domach handlowych przypominają o tym wrzodzie na tyłku społeczeństwa, jakim są kuce nie-piękne, nie-idealne i generalnie nie), od Myrtle, która miała dobre intencje, ale jej matkowała i to ją krępowało, a wreszcie i przede wszystkim – od bezczelnego, wrednego, chamskiego League'a, który jednym zdaniem sprawił, że zniknął cały jej dobry humor.

Myrtle znalazła ją dziesięć minut później łkającą w łazience.

– No już, już – powiedziała łagodnie, głaszcząc klaczkę po zbyt długiej, jasnobrązowej grzywie. Przytuliła ją, nie zważając na niemrawe protesty. – Nie przejmuj się nim. League to kretyn bez krzty taktu i nie umie się zachować. Jest mu przykro. Możesz wierzyć lub nie, ale chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi... rodzice nie nauczyli go grzeczności. Albo po prostu jest debilem. Taaak, to drugie jest bardziej prawdopodobne. – Odsunęła Cinn na odległość wyprostowanego kopyta i uśmiechnęła się do niej, zapłakanej, zasmarkanej i nieszczęśliwej. – Cinn, nie płacz. Ogarnij się, przerwa się kończy, zaraz kolejna lekcja. Chyba nie chcesz się urwać już pierwszego dnia? – Rozejrzała się, jakby szukając kogoś, kto mógłby podsłuchać, po czym mrugnęła do koleżanki porozumiewawczo. – Ale obiecuję, że jeszcze będzie wiele okazji, żeby pójść w długą.

Cinnamon, mimo że akurat była na dnie rozpacz, uśmiechnęła się blado.

Myrtle odwzajemniła uśmiech.

– Dziewczyno, tobie naprawdę potrzebny jest ktoś, kto się tobą zaopiekuje – mruknęła, pomagając Cinn podnieść się z podłogi. – Dobrze, że na mnie trafiłaś, oj, dobrze. Już ja cię wezmę pod swoje skrzydła. – Zachichotała figlarnie. – Znaczy, metaforyczne, bo prawdziwych, jak na złość, nie posiadam.

Wyszły z łazienki i skierowały się w stronę sali na końcu korytarza. Po drodze obeschły łyzy Cinnamon – trochę wsiąknęło w chusteczkę podsunietą usłudze przez Myrtle, część stłumiło jej wesołe: „Wszystko będzie dobrze”.

Cinn uwierzyła.

Przetrwiała lekcje, uspokoiła się, a koledzy i koleżanki znowu zaczęli odzywać się do niej normalnie. I uśmiechać.

Na League'a nie patrzyła. Znaczy, zerknęła... raz. Siedział w ostatniej ławce i wyglądał na niezbyt szczęśliwego. Gdy weszła do sali, zerwał się, jakby chciał coś oznajmić, ale przeszyty morderczym wzrokiem Myrtle, która wysunęła się przed Cinn i osłoniła ją własną piersią jak tarczą, oklapł z powrotem na krzesło, przygryzł wargi i nie odezwał się do końca

dnia.

Cinnamon nastrój poprawił się do tego stopnia, że prawie zapomniała o niemiłym incydencie – na przystanek odprowadziła ją Myrtle i jeszcze inna koleżanka, która szła w tę samą stronę, Violin albo Violet, Cinnamon z nerwów ciągle myliły się imiona. Rozmowa toczyła się bez problemów, a na koniec Myrtle zaproponowała jej spotkanie jeszcze w bieżącym tygodniu.

Było tak miło, że wieczorem Cinn z czystym sumieniem mogła powiedzieć rodzicom, że dzień był udany.

A League postanowiła nie zawracać sobie głowy.

Nie patrzeć.

Nie zagadywać.

Unikać.

Nie zdawała sobie sprawy, że to będzie takie trudne.

*

To się stawało naprawdę nie do wytrzymania.

Cinnamon nie miała pojęcia, jak można do tego stopnia nie mieć taktu. League działał jej na nerwy, to fakt. Czuła się źle w jego obecności... Bała się.

Bała się, że on powie coś głupiego, a jej będzie przykro.

Bała się, że powie coś bardzo, bardzo głupiego, a jej pozostanie zaszczyt się w kącie łazienki i zalanie się łzami w stopniu uniemożliwiającym dostrzeżenie Myrtle wchodzącej do pomieszczenia i przewracającej oczami nad swoją zasmarkaną „podopieczną”. (Ale nie było aż tak źle, co to, to nie, od początku semestru Cinn zrobiła tak ledwie siedem razy i w sumie była z siebie dumna, że tak mało.)

Ot, na przykład ostatnio.

Na lekcji śpiewu Cinnamon trochę nie trafiała w nuty. Właściwie bardzo nie trafiała. A jeszcze właściwiej – karkołomnie rozbijała kompozycję pozostałych chórzystów, którzy mieli nieszczęście ćwiczyć razem z nią. To nie była jej wina – śpiewanie w chórze jest samo w sobie trudne i Cinn nie miała pojęcia, dlaczego nauczycielka (nie zapamiętała jej nazwiska, ale załatywało z prancuska, wymawiało się to z takim głupim akcentem, przeciągając sylaby) w pierwszym tygodniu po powrocie do szkoły z ferii zdecydowała się na coś tak skomplikowanego. A już w szczególności dla niej.

Nie chciała taryfy ulgowej, ale na bogów, są jakieś granice.

To jest tak – kiedy jest się przygłuchym, nie słyszy się tak jak inne kucyki. Nie ma znaczenia posiadanie aparatu – to znaczy, ma, bo się słyszy, a bez niego by się nie słyszało, ale chodzi o coś innego. Ucho jest narządem niemal idealnym – odbiera dźwięki, a potem te dźwięki są przetwarzane na impulsy elektryczne czy coś takiego podobnego, te impulsy płyną sobie do mózgu i ten mózg przetwarza je na wrzask mamy, że trzeba wstawać do szkoły, szelest liści przydrożnej lipy albo seplenienie siostry (doprawdy, rodzice powinni wysłać Melasę do specjalisty, nawet Cinn *słyszała*, że młoda sepleni gorzej niż ona sama... ale ona

była usprawiedliwiona, miała niedosłuch, na kopyta Discorda, kto ma niedosłuch, mówi niewyraźnie, chociaż ona – i rodzice, i dziadkowie, i wujaszek – starali się z tym walczyć wszelkimi możliwymi metodami; Melasa nie miała żadnego wytłumaczenia. ŻADNEGO). Aparat jest jedynie namiastką prawdziwego ucha – wzmacnia dźwięki, pozwala je wyłapywać z otoczenia, ale mózg nie radzi sobie z przetwarzaniem informacji i przegrzewa się jak stary silnik. (Cinnamon wiedziała, co to znaczy przegrzany silnik, bo już parę razy mama, w ferworze jakiegoś wyjątkowo skomplikowanego eksperymentu mającego przynieść jej Nobla doprowadziła taki do wybuchu – na szczęście, i w sumie o dziwo, zniszczeniu uległa jedynie szopa, a nie mama. Właściwie, im dłużej Cinn знаła swoją matkę, tym silniejsze rosło w niej przekonanie, że Pumpkin Cake, córka Carrota i Cup, była po prostu, zwyczajnie nieśmiertelna.)

Najgorzej jest, kiedy dźwięków jest dużo, dochodzą naraz z różnych kierunków, niektóre są głośne, a inne ciche. Gdy w jednym momencie osoba niedosłyszająca musi się skupić na wypowiedziach kilku różnych kucyków, staje się jak dziecko we mgle. Kiedy te kucyki zaczynają śpiewać, a każdy innym głosem, każdy w innej tonacji (bo na tym generalnie polega chór, o czym Cinn zdążyła się boleśnie przekonać na tamtej pamiętnej lekcji, podczas której nie słyszała kompletnie niektórych swoich koleżanek piszczących sopranem zdolnym burzyć mury) – kucyk z aparatem nie jest w stanie zakodować wszystkiego. Gubi się w tym. Kręci głową na wszystkie strony, a i tak nic do niego nie dociera. Ktoś coś mówi, on to słyszy, ale nie rozumie.

Cinnamon dawno doszła do wniosku, że Wielki Chaos, czyli to, z czego według legend powstał świat, nie był wcale czymś karkołomnym, niesamowitym i gargantuicznym. To nie było tak, że Stworzyciel ot tak postanowił, że walnie sobie materię, bo tak mu się podoba. Po prostu Stworzyciel był niedosłyszający i ciągły chaos, którego doświadczał każdego, każdego dnia, męczył go niemożliwie.

Taaak, na sto procent tak było.

A więc Cinnamon stała przez chwilę na środku klasy razem ze swoimi kolegami i koleżankami (w tym jedną piszczącą sopranem; w sumie dobrze, że klaczka i tak nie była w stanie tego usłyszeć, na pewno brzmiało okropnie) i próbowała zaśpiewać czysto chociaż kawałek pieśni pochwalnej z początku ubiegłego stulecia. Nie zagrzała tam miejsca długo – nauczycielka o prancuskim nazwisku odesłała ją na miejsce, uznając, że nic nie będzie z ćwiczenia, jeśli Cinn non stop będzie gubić rytm.

Klaczka wróciła więc do ławki i nawet nie czuła się zbytnio winna.

To był jeden z tych dni, kiedy dziewczyna była względnie pogodzona z losem, zadowolona z życia (o ile można być zadowolonym z życia, nie będąc w stanie funkcjonować bez aparatu słuchowego, ale z drugiej strony, lepsze to niż wada wzroku, okularów nie da się skryć za zbyt długą grzywką, znaczy, da się, ale wtedy nic się nie będzie widzieć, a okulary generalnie służą do tego, żeby jednak coś się widziało) i nastawiona do świata optymistycznie i po prawdzie decyzja nauczycielki w ogóle jej nie przeszkadzała.

Do czasu.

Wpatrzyła się w okno, do tego stopnia nie zwracając uwagi na otoczenie, że nie zauważyła, jak na miejsce obok niej, na którym zwykle siedziała Myrtle (której teraz nie było, bo pod tablicą wyciągała najwyższe nuty) wślizguje się League.

Odplynęła do tego stopnia, że kiedy poczuła, jak czyjeś kopyto beczelnie majstruje jej przy uchu, chwyciła pierwszą rzecz, nawinęła jej się pod nogę (tępy ołówek) i odwróciła

gwałtownie głowę, mierząc wyżej wspomnianą bronią prosto w oko napastnika.

Była tak zdziwiona, że nawet zapomniała się wkurzyć (w końcu tuż obok, na wyciągnięcie kopytka siedział Ten-Którego-Nienawidziła-Nienawiścią-Szczera-I-Żarliwą). Znaczący, na chwilę – otrząsnęła się szybko.

Wkurzyła się, ale tylko w środku. Nie była zbyt dobra w okazywaniu emocji w sposób inny niż wstydlive spuszczenie oczu czy efektowne zalanie się łzami.

League przekręcił zabawnie głowę, gapiąc się na wycelowany w niego ołówek.

Powiedział coś, ale Cinn nie usłyszała – chórzyści doszli akurat do najgłośniejszego fragmentu. Patrzyła więc na niego tak, jak patrzy się na osobę, której bardzo, ale to bardzo się nie lubi (a przynajmniej miała taką nadzieję; na samą myśl, że ogier może zinterpretować jej natarczywy wzrok inaczej, wpatrzyła się w niego jeszcze natarczywiej, ale też wulgarniej, niemal obelżywie, o ile można na kogoś patrzeć obelżywie), on zaś patrzył na nią jak na ciekawy obiekt architektoniczny i tak mierzyli się wzrokiem, póki Cinn nie wpadła na pomysł, że mogłaby spróbować odczytać pytanie (bo nie miała wątpliwości, że League zadaje jej jakieś pytanie, Podstawowe Ironiczne Prawo Wszechświata w rozdziale trzydziestym drugim pt. „Osoby niedosłyszające” brzmi: „Gdy ktoś coś do ciebie mówi i ty nie wiesz co, więc po prostu kiwasz głową, żeby nie wyjść na głupka, możesz być pewny, że ten ktoś o coś cię pyta, więc wychodzisz na głupka jeszcze bardziej, bo to na pewno nie było pytanie TAK lub NIE”) z ruchu jego ust, co robiła przez całe swoje życie... ale nie musiała, bo chórzyści doszli do spokojniejszego fragmentu i burczeli coś pod nosem.

W klasie zrobiło się ciszej i wtedy Cinnamon usłyszała, co League do niej mówił.

Chyba wolałaby jednak nie słyszeć.

– Dlaczego poszłaś do szkoły muzycznej, skoro jesteś głucha?

Cinnamon poczuła coś na kształt prądu przechodzącego przez jej ciało. Zrobiło jej się gorąco, zaraz potem serce zaczęło walić jej jak oszalałe, a na koniec jej lico oblał krwisty rumieniec, oczy zaszkliły się, oddech przyspieszył, a wargi zaczęły drżeć.

Ktoś z boku mógłby uznać wszystkie powyższe objawy za niezbite oznaki zakochania.

Cinn może nawet roześmiałaby się z tego absurdu wniosku, gdyby nie czuła się w tamtym momencie tak upokorzona, zażenowana i beznadziejnie nieszczęśliwa.

League siedział obok, bujał się trochę na krześle, na którym zwykle siedziała Myrtle i sprawiał wrażenie, jakby naprawdę oczekiwał odpowiedzi.

Klaczka zerknęła przelotnie na środek sali w poszukiwaniu otuchy. Myrtle stała z boku, po lewej stronie – patrzyła na całą sytuację wyraźnie zaniepokojona, nie przestając śpiewać.

Nie mogła przecież przerwać nagle, podbiec do trzeciej ławki od strony okna i bezceremonialnie wyrzucić z niej bezczelnego kolegę, taszcząc go przez całą salę za kark jak kociaka (Cinn wyobraziła sobie taką scenę i mimo jej śmieszności i sporej dozy skondensowanego absurdu nie poczuła się ani trochę lepiej). Dziewczyna była zdana na siebie.

Mimo wszystkich negatywnych uczuć, jakie się w niej kotłowały, postanowiła być twarda, pokonać swoje słabości i wreszcie przestać być beksą, toteż przeniosła wzrok z powrotem na uśmiechniętą twarz kolegi (która, o czym Cinn była święcie przekonana, znacznie lepiej prezentowałaby się na klifie oddalonym od niej o minimum pięćset

kilometrów) i odpowiedziała tak mało drżącym głosem, na jaki zdołała się zdobyć:

– Nie jestem głucha. Mam niedosłuch.

League pobujał się jeszcze trochę na krześle, kiwając w zamyśleniu głową. Sytuacja była nieco dziwna – on się bujał, Cinn z trudem opanowywała płacz, a reszta klasy stała na środku pod tablicą i śpiewała kolejne zwrotki pieśni pochwalnej z początku ubiegłego stulecia.

W pewnym momencie ogier spojrzał na nią z zaciekawieniem – on zawsze patrzył na nią z zaciekawieniem, co Cinn zdążyła odkryć już jakiś czas temu i peszyło ją to potwornie, bo kiedy on tak się jej przyglądał, czuła się jak ostatni żyjący okaz salamandry błoniasto-palczastej w uniwersyteckim terrarium podczas wykładu – i uśmiechnął się. Chyba łagodnie, ale może kpiarsko – z takimi jak on nigdy nic nie wiadomo.

– No tak, niedosłuch. Przepraszam. – Spojrzał w sufit, a potem znowu na nią. Zmarszczył brwi. – Po prostu zastanawiałem się ostatnio, jak to jest. W sensie – wskazał kopytkiem na jej ucho, a ona, jakby w odruchu obronnym, natychmiast bezwiednie poprawiła sobie grzywkę – nie słyszeć. Bo jak zdejmiesz aparat, to nie słyszysz, prawda?

Cinn nie miała pojęcia, czy nagle znaleźli się w jakiejś innej czasoprzestrzeni, ale zaczynał ją irytować fakt, że nauczycielka nie reaguje na ich rozmowę. Właściwie, sterczała z przodu sali, wymachując zawzięcie przed śpiewającą grupką – do reszty klasy odwrócona tyłem. Kiedy Cinnamon dyskutowała z Myrtle, każdy belfer czuł się w obowiązku zwrócić im uwagę.

Klaczka zagryzła wargi, starając się skupić na słowach League'a. On dalej wpatrywał się w nią intensywnie, oczekując odpowiedzi.

Zebrała myśli i na wstępie wzruszyła ramionami.

– Nie – powiedziała, a uznawszy, że jednak może dać z siebie więcej (niech się cieszy, a poza tym wujek uczył ją używać pełnych zdań) dodała gwoli uzupełnienia: – Bez aparatu dźwięki są tak ciche, że właściwie zupełnie ich nie słyszę.

– Ale nie przeszkadza ci to do tego stopnia, że poszłaś do szkoły muzycznej.

Cinn spłoniła się – sama już nie była pewna, czy bardziej z gniewu, irytacji, frustracji, chęci rozszlochania się... Co on ma z tą szkołą? Na bogów, to nie było takie proste. Cinnamon do tej pory sama nie wiedziała, co chce robić w życiu. Nie miała pojęcia, jak będzie wyglądać jej ścieżka. Była tylko małą, przerażoną klaczką z milionem kompleksów (nie, żeby to się zmieniło).

Zawsze kochała muzykę. Nigdy nie wierzyła w swoje możliwości.

Dopiero podczas tej ostatniej wigilii... sama nie wiedziała, jak do tego doszło. Po prostu atmosfera, wujek, długa rozmowa... a potem znaczek. I duma rodziny. I już wiedziała. I była pewna. Pierwszy raz w życiu była czegoś pewna!

Przestała być następnego dnia rano.

A potem przestawała każdego kolejnego – kiedy niektóre egzaminy okazywały się wyjątkowo trudne, kiedy część instrumentów podczas zajęć wybitnie jej nie słuchała, kiedy ktoś rzucił jej krzywe spojrzenie, a ona nie wiedziała, czy ma podkrążone oczy albo brudny nos czy też dostrzeżono jej aparat (zawsze w takich sytuacjach jej kopyto sięgało automatycznie do grzywki i przyklepywało ją, przeczesywało, międlilo, miętosiło i robiło jeszcze wiele innych dziwnych rzeczy, by jej mała tajemnica poliszynela była mniej

widoczna).

Nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, kiedy podejmowała decyzję o przeniesieniu się do tej szkoły.

To nie zmieniło się w ciągu tych kilku dni, podczas których wdrażała się w nowy system.

Nie umiała udzielić odpowiedzi, bo sama jej nie znała. Jak można być aż takim masochistą, żeby uczyć się w szkole muzycznej, będąc głuchym?!

– Kocham muzykę – powiedziała wreszcie, a kiedy wypowiedziała to na głos, poczuła się nieco pewniej, jakby jej działania nagle odzyskały utracony sens. Nie, żeby to było poczucie permanentne albo przynajmniej długotrwałe – jedynym określeniem, na jakie zasługiwały u niej stany wzmożonej (czyli w przypadku Cinn jakiegokolwiek) pewności siebie, było: „tymczasowe”.

League znów przekręcił głowę. W lewo. Zawsze przekręcał ją w lewo. Nie, żeby Cinn przywiązywała wielką wagę do tego, w którą stronę on przekręca głowę, kiedy jest zafascynowany.

Z jednej strony miała wrażenie, że on się z niej naigrywa, a z drugiej schlebiało jej, że może być dla kogoś aż tak interesu...

Zamrugła gwałtownie. Czekał, wróć. Ta myśl była głupia. Ona jest głupia, w sensie, League jest głupi. Głupi, bezczelny i nieludzki. Myśl – wymazać.

Ogier, nieświadomy tego, co dzieje się w głowie Cinn, wyszczerzył do niej zęby.

– Słyszysz, jak komuś upadną monety?

Klaczka otrzeźwiała nieco pod wpływem tego pytania. Otworzyła szeroko usta, ale w sumie nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć, żeby nie brzmiało idiotycznie.

– To podobno słyszą nawet całkiem głusi – powiedziała wreszcie słabym głosem.

League parsknął śmiechem. Nauczycielka odwróciła się („Świetny refleks!” – zaburczała ironicznie w myślach Cinn) i kopytem nakazała, żeby trzecia ławka od okna natychmiast zamknęła jadaczki, bo jak nie, to ci, którzy w niej siedzą, wylądują na dywaniku u pani dyrektor (Cinnamon była pod wrażeniem, że pani-o-prancusko-brzmiącym-nazwisku udało się zawrzeć tak okazałych rozmiarów komunikat w pojedynczym machnięciu kopytem, ale widocznie nie doceniała jej talentów; a do pani dyrektor wybrałaby się z chęcią – i tak bywała u niej w ciągu ostatnich kilku tygodni tak często, że z panią Drum stały się właściwie dobrymi znajomymi).

Ogier uspokoił nauczycielkę, udając, że sznurkuje sobie usta, a kiedy ta odwróciła się z powrotem do chórzystów (którzy zaczęli akurat zwrotkę sześćdziesiątą pierwszą, a przynajmniej tak się Cinnamon wydawało, bo śpiewali już tak długo, że żadna zwrotka poniżej sześćdziesiątej pierwszej nie wchodziła w grę), odezwał się znów:

– Czyli u ciebie zawsze ktoś jest w domu?

Cinn była nastawiona na kolejne pytanie dotyczące jej niepełnosprawności, więc to, co usłyszała, nieco zbiło ją z tropu.

– U mnie... w domu?

– No, tak. Rano.

– Ra... no?

League pokiwał głową, kompletnie nie zwracając uwagi, że koleżanka ma wyraźne problemy z zachowaniem płynności wypowiedzi.

– Nooo – powiedział, przeciągając zabawnie samogłoskę. Bujnął się na krześle – raz i drugi, dla dodania sobie animuszu – i kontynuował: – Chyba cię ktoś musi rano budzić do szkoły.

Tym razem to Cinnamon parsknęła śmiechem – całkowicie wbrew zasadom dobrego wychowania (była na lekcji!), zdrowemu rozsądkowi (to pytanie było żałosne, a nie śmieszne!) oraz sobie samej (ależ oczywiście, że wbrew sobie, JASNE, ŻE TAK, League jej nie śmieszył, on ją IRYTOWAŁ). Kopyto nauczycielki zadrżało, jej potężna, wystająca pierś zafalowała, co Cinn zauważyła, gdy ta odwróciła się do nich bokiem i ze zniecierpliwionym wyrazem twarzy warknęła coś przez zaciśnięte zęby... ale przecież Cinnamon i tak była przygłucha.

Ostatnia myśl, kolejny raz wbrew wszystkim wcześniejszym czynnikom, wywołała u niej nagły atak wesołości.

League patrzył na nią ze zdziwieniem. Chyba po raz pierwszy to na jego pyszczku malował się szok i zakłopotanie.

Cinn już miała się do niego uśmiechnąć, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, z kim rozmawia. Przywołała więc chmurny wyraz twarzy (nie, żeby przyszło jej to z wielkim trudem, dalej nie lubiła tego wrednego sukinkota) i odpowiedziała:

– Rodzice wychodzą do pracy przed moją pobudką. Sama wstaję.

– Sama?

– Tak.

– Bez aparatu?

– No.

– Ale jak to?

– Normalnie.

– Czyli jak?

– Budzik.

– Nie słyszysz, ale budzi cię sygnał budzika?

– Nie sygnał. Wibracje.

– Słyszysz je?

– Czuję.

– Czujesz?

– Tak. Śpię z telefonem pod poduszką.

Konwersacja, a raczej wymiana monosylab niemająca z konwersacją z prawdziwego zdarzenia nic wspólnego, została przerwana nagłym pojawieniem się Myrtle. Cinn podniosła wzrok na zegar wiszący nad tablicą i uświadomiła sobie, że ćwiczenia się skończyły, bo i zaraz zajęcia dobiegną końca.

Przeniosła spojrzenie na przyjaciółkę (znały się krótko, ale Cinn już zaczęła myśleć o niej jak o przyjaciółce, co może nie było z jej strony zbyt rozsądne, ale na pewno miłe i dodające otuchy, a ze wszystkich osób na świecie w tamtym czasie ona potrzebowała otuchy najbardziej) i zobaczyła, że ta dyszy nad ławką, a każdy oddech zabawnie rozszerza jej chrapy.

– Wynocha – powiedziała tylko, wskazując League’owi koniec klasy.

Ten podniósł się potulnie i opuścił krzesło, na którym bujał się, kiedy Myrtle była zajęta zdzieraniem sobie gardła.

Klaczka klapnęła obok Cinn i tak jak ona zaczęła się pakować.

– Czego chciał? – zapytała niby od niechcienia, ale żółta klacz widziała, jak bardzo się przejmuje i zrobiło jej się cieplej na sercu.

– Tego, co zawsze – odpowiedziała, starając się, żeby jej głos nie brzmiał jak oskarżenie. Przecież, koniec końców, miała dzień nastroju bardziej optymistycznego niż pesymistycznego i w sumie zapomniała już o głupich pytaniach League’a i jego uwagach, po których normalnie wylaby w poduszkę jeszcze przez dwa następne dni.

Co nie zmieniało faktu, że ogier ciągle był irytujący i stanowczo zbyt ciekawski.

Myrtle chyba nie mieściło się w głowie, że Cinn może być taka spokojna po rozmowie Z-Tym-Którego-Imię-Należy-Wymawiać-Wyłącznie-W-Towarzystwie-Soczystego-Epitetu. Rzuciła koledze przez ramię niewybredne spojrzenie, po czym zwróciła się na powrót do Cinn, która czekała już od jakiegoś czasu na dzwonek.

– Ale... wszystko jest w porządku, tak?

– Tak – opowiedziała koleżanka i nawet nie miała wrażenia, że kłamie. – Tak – powtórzyła pewnie. – Ale... – zawahała się.

Myrtle podchwyciła natychmiast.

– Ale?

W tym momencie zadzwonił dzwonek, wybawiając Cinnamon od tłumaczenia, jak dziwnie czuje się z tym, że League tak bardzo się nią interesuje – nawet jeżeli przez owo zainteresowanie wylała przez kilka pierwszych szkolnych dni więcej łez niż przez ostatni kwartał.

Kiedy wyszły z sali, Myrtle przytuliła ją.

– Jeśli chcesz, postaram się go trzymać od ciebie z daleka.

Cinnamon spojrzała w duże, niebieskie oczy swojej przyjaciółki, w których dostrzegła zaniepokojenie i prawdziwą troskę.

Skinęła powoli głową, niepewna, czy trzymanie się od League’a z daleka naprawdę jest tym, czego chce.

To znaczy... nie była pewna, czy Myrtle podoła. Taaaak. Właśnie o to chodziło.

*

Kolejne dni upłynęły w miarę spokojnie. Nastął luty, Cinn zadomowiła się już w nowej

klasie (choć ciągle nie pamiętała, czy klaczka, z którą szła wtedy na przystanek, to Violet czy Violin), lekcje upływały jej przyjemnie, chyba że akurat zdarzył się test, a nauczyciele byli wymagający.

Cieszyła się na każdą lekcję związaną z muzyką. Bała się potwornie, że czegoś nie usłyszy, że zrobi z siebie głupka (co, szczerze powiedziawszy, w przeszłości zdarzyło jej się tyle razy, że prawie zapomniiała, jak to jest *nie robić* głupich rzeczy, przez które inni mają cię za osobę upośledzoną; swoją drogą, na tym właśnie polegał „urok” niedosłuchu – mogłeś być najmądrzejszą osobą na świecie, ale i tak w konkretnych sytuacjach sprawiałeś wrażenie lekko niedorozwiniętego) albo – jeszcze gorzej – że nauczyciel odeśle ją do pani dyrektor, a ta zacmoka jej nad głową i powie coś w stylu: „Jednak popełniłam błąd, nie nadajesz się. Głusi nie powinni zajmować się muzyką”.

Nic takiego nie miało miejsca

Klaczka chodziła do szkoły, każdego dnia zrywając się o świecie, żeby dojechać rozklekotanym autobusem (to zabawne, że niemożliwe skrzypienie otwierających się drzwi albo pisk przegubu na zakrętach słyszała doskonale, podczas gdy nie potrafiła sensownie odpowiedzieć, gdy ktoś w tym pojeździe zapytał ją o godzinę), a potem spędzała siedem albo osiem godzin naprzemian na nauce i szeroko rozumianej integracji (która opierała się głównie na rozmowie z Myrtle i ewentualnie z innymi koleżankami i kolegami z klasy, którzy byli na tyle rozgarnięci i uprzejmi, że zagadywali do niej dlatego że miło się z nią rozmawiało, a nie dlatego że nosiła aparat i była inna).

Cinn bardzo często łapała się na tym, że gdy ktoś do niej podchodził, sprawdzała odruchowo, na co patrzy – jeżeli jego wzrok skupiał się na jej twarzy, oczach, ustach, policzkach (zazwyczaj łagodnie zaróżowionych, w życiu jest wiele sytuacji, które mogą cię skrepować, jeżeli jesteś nieśmiałą, zakompleksioną nastolatką ze zbyt długą grzywką i sporym niedosłuchem), a nawet na przyszczu, który wyskoczył jej poprzedniego wieczoru – uśmiechała się do niego najserdeczniej, jak umiała i przesuwiała się usłużnie na ławce, robiąc miejsce; jeżeli wzrok potencjalnego rozmówcy przemykał się mimochodem po jej uchu, szukając tego, co skrywały gęste kosmyki (a Cinn zawsze starannie dbała o to, by faktycznie *skrywały*, często rano wołała nie zjeść śniadania niż pozwolić, by jej grzywa nie była w idealnym, zasłaniającym stanie; babcia Cake czyniłaby jej uwagi każdego dnia, gdyby o tym wiedziała) – potencjalny rozmówca, jak sama nazwa wskazuje, pozostawał wyłącznie *potencjalny*, bo Cinn nie miała ochoty rozmawiać z kimś, kto – jak perorowała z mocą zielonej przyjaciółce, która powoli zaczynała mieć dość jej manii prześladowczej i na każdą tego typu uwagę reagowała przewróceniem oczami – uważa ją za małpę.

A skoro o tym mowa.

League uspokoił się nieco przez ostatnie dni. Nie zagadywał (o ile pod kategorię „zagadywania” nie łapią się stosy liścików słanych jej podczas zajęć), nawet na nią nie patrzył... Nie podchodził, kiedy była w towarzystwie Myrtle, ale to akurat Cinnamon nie dziwiło – na jego widok oczy przyjaciółki natychmiast zasnuwały się niewidzialną mgiełką, a jej kopytko samo unosiło się i czyniło w powietrzu kółka, wyraźnie przygotowując się do spotkania z czyjąś szczęką. Myrtle, jak zdążyła zauważyć Cinn, była: wybuchowa, bywała: aroganka, a także odznaczała się niesamowitym wręcz poczuciem odpowiedzialności za istoty słabsze od siebie.

Cinn знаła ją ledwie od kilku tygodni, a już dziękowała niebiosom, że postawiły tę zieloną choleryczkę na jej drodze.

Klaczce odpowiadał niepisany układ z League. On nie starał się zadawać głupich pytań, które wywoływały w niej odrazę wobec samej siebie – ona zaś nie rzucała w jego stronę przelotnych spojrzeń, nie wodziła za nim oczami, sprawdzając, gdzie siedzi i czy akurat nie za blisko niej i nawet nie słuchała go, gdy odpowiadał, wywołany do tablicy (a często-gęsto odpowiadał tak zabawnie, że jego uwagi mogłyby posłużyć przyszłym pokoleniom za anegdoty – zebrane w tomik pt. „Jak NIE należy odpowiadać w szkole, chyba że chce się dostać pałę, wtedy można”; tak było na czwartkowej matematyce, kiedy nie znalazł odpowiedzi na ani jedno pytanie wyłączając to o nazwisko i numer w dzienniku. Cinnamon nie pokładała się ze śmiechu wyłącznie z litości).

Najzwyczajniej w świecie nie zwracała na niego uwagi.

Skupiła się na sobie, na lekcjach i muzyce. Muzyka ciągle dawała jej radość, a każdy mały sukces w szkole był przyjmowany entuzjastycznie w domu (ach, jak dobrze, jak dobrze mieć rodzinę wspierającą cię nawet w wyborach, które wydają się całkowicie bezsensowne!), natomiast lekcje jak to lekcje – niektóre były nudne, inne fascynujące. Cinn starała się i z nich czerpać przyjemność, pomna słów ojca, że chciałby mieć w domu przynajmniej jedną dobrze wykształconą córkę (wygłaszając takie tyrady, patrzył na biegającą szaleńczo po podwórku Melasę z wiecznie poobdzieranymi kolanami i miał minę wyrażającą aż nadto dobitnie, na którą córkę w tym względzie bynajmniej nie liczy). Ostatnio na przykład, na lekcji fizyki, dziewczyna patrzyła z zachwytem na przeprowadzany przez nauczyciela pokaz z użyciem jakiegoś tam rurki... nieważne. Tematem lekcji były fale i to, w jaki sposób rozchodzi się dźwięk. Żeby to zilustrować, pan Buddy przygotował dla nich długi, metalowy przyrząd (który nawet jakoś się nazywał i Cinn chyba zapisała to w swojej notatce, ale kto by tam czytał własne notatki, chyba jakiś desperat), który w jakiś dziwny, niepojęty sposób przetwarzał muzykę na podskakujące płomyczki. Cinn uśmiechała się potem za każdym razem, gdy przypominała sobie ten drgający ogień – to było coś niesamowitego i nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego z bliska. Czuła się trochę tak, jakby widziała muzykę... Ale tylko trochę.

„Muzyki nie da się zobaczyć” – pomyślała, a potem usłyszała zdziwione pytanie siedzącej obok Myrtle:

– Co? – i doszła do wniosku, że pomyślała to na głos.

Wzruszyła ramionami.

– No, nie można – powiedziała i zarumieniła się, widząc, jak przyjaciółka marszczy brwi w całkowitym niezrozumieniu. – Ten ogień tańczy w rytm muzyki i udaje, że nią jest... ale to niemożliwe. Muzykę można usłyszeć, a nie zobaczyć.

Myrtle bardzo powoli pokiwała głową i wróciła do notowania wyników doświadczenia z miną mówiącą aż nadto wyraźnie, że ona nie chce mieć z tą sprawą (i z siedzącą po jej lewej stronie nie zrównoważoną klaczką) nic wspólnego.

Cinn wzruszeniem ramion postanowiła zakryć rumieniec, chociaż nie wyszło jej, bo kątem oka zauważyła, że tuż za nimi siedzi League i przysłuchuje się uważnie, co oczywiście wywołało u niej jeszcze rozleglejszy rumieniec. Przełknęła ślinę i wpatrzyła się z powrotem w tańczące płomyczki.

„Chciałabym zobaczyć muzykę” – pomyślała (teraz już po cichu, do siebie, była o tym przekonana) i sama również wróciła do kajetu, a konkretnie do niedokończonego dzieła na lewym marginesie, bo kto normalny na lekcji o falach dźwiękowych pisałby w zeszycie coś

na temat fal dźwiękowych.

Zebrała się, gdy tylko rozbrzmiał dzwonek i nawet nie zatrzymała się wzrokiem na sylwetce czarnowłosego ogiera... w sensie, zbyt długo. Zdążyła jedynie zauważyć, że ten podchodzi do biurka nauczyciela i zaczyna coś do niego głośnić z typowym dla siebie entuzjazmem. Wzruszyła ramionami i wyszła, wracając myślami do tego, co naprawdę istotne – czy do maleńkich, tańczących ogników.

Dziewczyny nie opuszczało szczęście, bo okazało się, że podobne widowisko, ale na znacznie większą skalę, będzie mogła zobaczyć jeszcze raz – w pierwszych dniach lutego w Parku Zimowym oddalonym od jej szkoły o kilkanaście minut spacerem organizowano pokaz tańczących fontann. Klaczka wybrała się tak razem z mamą i siostrą – chociaż „wybrała się” jest złym określeniem, ona wspomniane wyżej klacze tam zaciągnęła siłą, jęcząc i skamląc przez cały poprzedni dzień „jedźmy, jedźmy, jedźmy”. Wybitnie nie miała ochoty ruszać się z domu sama, nie była typem odważnej klaczy przemierzającej świat samotnie i z uniesioną głową, zawsze wolała mieć towarzystwo, a Myrtle (ani żadna inna z nielicznego grona koleżanek) nie mogła jej towarzyszyć. Mama zgodziła się w końcu, zdaje się, dla świętego spokoju, z zastrzeżeniem, że wezmą ze sobą Melasę („A nuż będziemy miały fart i ta mała zaraza utopi się w którejś fontannie”).

Cinnamon z mamą krążyły parkowymi alejkami, podziwiając piękną wystrzeliwujących w powietrze strug spienionej wody. Fontanny były ustawione tak, by „tańczyły” w rytm muzyki – przy fortepianowych humoreskach podrygiwały radośnie jak żrebięta w piaskownicy, a przy ciężkich skrzypcowych elegiach woda burzyła się, bulgotała i przepływała łagodnie i smętnie między szczyrbami w kamiennej konstrukcji.

Melasa biegła w tę i we w tę, pokrzykując i czyniąc z siebie prawdziwe widowisko („Błagam, niech się poślizgnie i wpadnie wreszcie do tej wody” – mruczała udręczonym głosem matka, a Cinn uśmiechała się ciepło pod nosem, bo wiedziała, że mama mimo wszystko bardzo kocha swoją młodszą córkę; co oczywiście nie zmieniało faktu, że nie cierpiała tego „nieznośnego bachora” – jak sama określała Mel – w sposób żarliwy i namiętny; Cinnamon szybko doszła do wniosku, że powodem takiego stanu rzeczy mogła być zbieżność charakterów – Mel wykazywała wobec mamy ogromne podobieństwo, wszędzie było jej pełno, odzywały się w niej już trefne matczyne geny totalnego niszczyciela i matka nie mogła znieść, że ktoś w domu robi jej konkurencję – albo zwyczajnie wreszcie dostrzegła, jak to wygląda z boku i jaką trzeba wykazać się cierpliwością, by takiej osoby nie wyrzucić na bruk, rzucając za nią szczoteczkę do zębów i suchara), a Cinn spacerowała i podziwiała piękno podświetlonej wody połyskującej na tle zachodzącego słońca.

I wtedy dostrzegła League’a.

W pierwszym odruchu stanęła jak wryta. W drugim chciała się wykręcić na pięcie i uciec. W trzecim cofnęła się o krok i przygotowała do szybkiej ewakuacji.

Niestety, trzy pierwsze odruchy trwały tak długo, że na czwarty, właściwy, prowadzący do uniknięcia konfrontacji z bezczelnym, niemiłym, wywołującym łyzy ogierem – zabrakło czasu.

Szkolny znajomy pomachał do niej kopytkiem i podbiegł energicznie, po drodze uważnie się rozglądając („Czyżby szukał wśród tłumu Myrtle i jej Żelaznego Kopyta?” – zadzwoniła w myślach Cinn, kpina tą starając się zatuszować rumieniec, który znów – noż cholera jasna! – wypełznął jej na żółte lico). Uśmiechnął się do jej mamy, która na jego widok uniosła brwi w geście zdziwienia.

– Dzień dobry – przywitał się uprzejmie, rzucając dziewczynie ponaglące spojrzenie. Ona jednak przygryzła wargę i odwróciła głowę. Chłopak wzruszył ramionami i wobec obojętności klaczki przedstawił się sam: – Nazywam się League. Chodzę z Cinnamon do klasy.

– Dzień dobry, League – uśmiechnęła się mama, wyciągając kopytko. – Miło cię poznać. Przyszedłeś pooglądać pokaz fontann? Cieszę się, że moja córka ma znajomych, którzy po zajęciach robią coś innego niż gapienie się w ekrany tabletów.

Cinn zagryzła wargi mocniej. Przyszło jej do głowy, że jednak powinna była porozmawiać z rodzicami o League’u, który – w jej odczuciu – bezczelnie ją nękał. Wówczas mama wiedziałaby, że nie należy z nim rozmawiać... nie mówiąc już o uwadze, że cieszy się, że są znajomymi.

League wyszczerzył się radośnie.

– Ma pani rację – powiedział, kiwając głową jak diabełek z pudełka. Cinn spojrzała na niego z obrzydzeniem, mając wrażenie (a może nadzieję?) że ta jego głowa, jak sprężynowemu diabełkowi z pudełka, za moment się urwie. – Osobiście wolę pooglądać takie cuda jak tutaj i przejść się w mroźny wieczór niż marnować czas na bzdury. Zresztą, zaciekał mnie sam mechanizm tych fontann i postanowiłem przyjrzeć się temu bliżej.

Mama uniosła brwi.

– Interesujesz się takimi rzeczami?

League uśmiechnął się. Cinn zauważyła, że dołączył do nich i szedł bok w bok z jej matką – nie wywołało to u niej entuzjazmu. Wiedziała, że jej mama, w przeciwieństwie do niej, nie stroni od pogawędek z innymi kucykami. Lubiła sobie porozmawiać tak samo, jak Cinn lubiła sobie pomilczeć. Obecna sytuacja wydawała jej się nieco absurda – obok niej kroczyła matka, która toczyła dyskusję z ogierem, którego ona, jej córka, szczerze nienawidziła i wszystko wskazywało na to, że ona – jej matka – czerpie z dysputy niemałą przyjemność.

Cinn prawie nie zwróciła uwagi na kolejną kwestię League’a, nieszczęśliwa i samotna w tym niefajnym dla niej układzie.

– Interesuję się wieloma rzeczami. Te fontanny faktycznie są piękne, ale chyba wolę maszyny. Lubię sobie czasem coś skonstruować. No i jestem modelarzem... trochę. Mam w pokoju nieukończony samolot z okresu Pierwszego Wielkiego Chaosu... i jeszcze w piwnicy kurzy się samonośne siodło, które sam zaprojektowałem.

Klaczka nie musiała patrzeć, by widzieć, że w tym momencie jej matce oczy świecą się z zachwyty. Nie miała pojęcia, że League interesuje się takimi rzeczami – wszak ich rozmowy polegały najczęściej na:

a) jego obraźliwych odzywkach,

b) jej płaczu po jego obraźliwych odzywkach,

ewentualnie c) wzajemnym unikaniu się. Tak naprawdę Cinn nie miała okazji bliżej go poznać... a teraz się okazuje, że chłopak podziela wspólne pasje z jej własną, prywatną, rodzoną matką.

Klaczka jęknęła w duchu, chociaż postarała się, żeby w jej głowie ten jęk zabrzmiał wystarczająco ponuro i żałośnie.

Wiedziała, do czego to doprowadzi. Mama rozkręci się, zacznie wypytywać o szczegóły i nie pozbędą się League'a aż do końca wieczoru... wieczoru, który miał być cudowny, a jest zmarnowany.

Jak zawsze.

Kolejna kwestia mamy została wypowiedziana tak entuzjastycznym tonem, że Cinnamon aż ugryzła się w język z frustracji.

– Robisz modele samolotów? Też się tym zajmowałam w dzieciństwie! Teraz wolę bardziej praktyczne rzeczy. Na przykład ostatnio przerabiałam czajnik elektryczny, żeby pobierał mniej prądu.

Klaczka ledwo powstrzymała się przed wymownym prychnięciem. Mama jakoś przeżyła tę próbę, czajnik – nie.

League pokiwał głową.

– Kiedyś bawiłem się Zaklęciem Modyfikacji Struktury Płynów – zmieniłem cechy wody tak bardzo, że dwa litry zagotowały się w niespełna dziesięć sekund... ale potem była niezdatna do picia, bo nie umiałem znaleźć kontrzaklęcia.

Mama zaśmiała się perlistym głosem.

– Nawet nie wiesz, ile razy mnie się to przydarzyło – mrugnęła do niego porozumiewawczo. – Pewnie próbowałeś Zaklęciem Odwrócenia?

– Tak, skąd pani wie?

– Też na tym poległam. Wielokrotnie. – Zarzuciła chłopakowi kopytko na grzbiet i powiedziała: – Wiem, że właśnie tego uczą na magii praktycznej w szkole, ale powiem ci szczerze: szkoła nie jest miejscem, gdzie jednorożec może nauczyć się magii. Te zajęcia dla jednorożców są o kant tyłka potłuc, za mało i prowadzone w najżałośniejszy z żalosnych sposobów... Do wszystkiego dochodziłam sama. I wiesz co? Zaklęcie Odwrócenia jest polecane przy każdej magicznej inkantacji, bo jest najprostsze i najtrudniej je zepsuć, a nauczycielom to pasuje, bo nie muszą się zbytnio wysilać, kiedy uczeń coś zniszczy... ale jest wiele innych zaklęć. Tylko trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Jest taka książka, zaraz sobie przypomnę tytuł...

Cinn pozwoliła wtedy swoim myślom odpłynąć.

Starła się nie zwracać uwagi na ten jawny akt zdrady, który działał się tuż pod jej nosem (choć mama nie miała pojęcia, że League jest „wrogiem numer jeden”, więc właściwie nie była to zdrada, tylko zwykłe, ludzkie nieporozumienie) i po prostu szła, skupiając wzrok na fontannach, których piękno nagle przestało do niej przemawiać, oraz na tłumie, którego barwny korowód w jednej chwili zaczął jej przypominać rozszalałe stado bydła.

Marzyła, żeby wyłowić wzrokiem swoją małą, irytującą siostrzyczkę, mogłaby wówczas przywołać ją do siebie i zagadać i nie sprawiałaby wrażenia tak wykluczonej z rozmowy – ale jak na złość małej zarazy akurat nie było w pobliżu.

Od czasu do czasu przez gruby mur obojętności, jaki wokół siebie zbudowała, przebijały się poszczególne kwestie z rozmowy mamy i League'a – dyskutowali o fizyce kwantowej, jakichś falach, zaklęciach, matematyce stosowanej, urządzeniach, kabelkach i różnych innych dziwnych, dziwnych rzeczach, których ona nie rozumiała i nie miała zamiaru zrozumieć, bo tylko osoby nienormalne fascynują się takimi rzeczami po to, by później pozbywać się domowych sprzętów w może nie do końca efektywny, ale na pewno

niezwykle efektowny sposób.

Gdy tak szła, zatopiona we własnych myślach, przegapiła moment, gdy kolejne pytanie padło pod jej adresem.

– CINN!

Odwróciła się od najmniejszej fontanny w parku, skrzęcej się na zielono i niebiesko i skupiła wzrok na twarzy mamy.

Starsza klacz przewróciła oczami.

– Kolega cię o coś pyta – wyjaśniła upominającym tonem.

Cinn zerknęła na uśmiechniętego od ucha do ucha League'a i – oczywiście, jakżeby inaczej! – zarumieniła się.

– Wybacz, nie słyszałam – powiedziała i zarumieniła się jeszcze bardziej, bo ze wszystkich rzeczy, które może powiedzieć osoba niedosłyszająca, ta jest najbardziej żalosa, jaka istnieje.

League uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie przejmuj się. Też często się zamyślam i wtedy świat dla mnie nie istnieje – puścił do nie oko. Odwróciła głowę z zaciętą miną. Chłopak westchnął tylko i nie powtórzył pytania, które zadał wcześniej.

Zrobiła to za niego mama, zniecierpliwiona przedłużającą się ciszą.

– League pytał, w jaki sposób odbierasz muzykę.

Cinn poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w żołądek.

A więc jednak – myślała wtedy, rzucając ogierowi tak mordercze spojrzenie, że chyba nawet do jego zakutej głowy dotarła niestosowność tego pytania. – Więc jednak cały czas, CAŁY CZAS ma mnie za egzotyczny okaz, który można podziwiać, a jak się znudzi – odejść w inną stronę.

Zagryzła wargi, nie chcąc dać po sobie poznać, jak wielką ma gulę w gardle.

Mama szturchnęła ją niecierpliwie.

– No, Cinn – ponagliła – chyba wypada odpowiedzieć?

Klaczka rzuciła jej już gniewne, ale jeszcze nie załzawione spojrzenie (ale to miało się szybko zmienić, zresztą, Cinnamon wiedziała, że się to zmieni, знаła siebie bardzo dobrze i czasem żałowała, że urodziła się nieśmiałą Cinn, a nie energiczną Melasą, buńczuczną Myrtle albo stanowczą mamą) i nic nie odpowiedziała.

Zauważyła kątem oka, że League pociera nerwowo kopytkiem przedramię.

– Nie chciałem cię urazić – powiedział i Cinn zdało się, że ma na myśli nie tylko swoją ostatnią kwestię, ale i wszystkie poprzednie, z wczoraj, przedwczoraj, z poprzednich dni, ze szkoły, z drogi do szkoły, z przystanku, z korytarza i ze wszystkich miejsc, w których – o zgrozo – spotykali się na co dzień. – Po prostu jestem... ciekawy. No i chyba ten temat cię interesuje, w sensie, o dźwiękach, widziałem, że na ostatniej fizyce uważnie słuchałaś – dodał.

Cinn chciała powiedzieć, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a nudnymi wykładami na temat dźwięku bardziej zainteresowany jest chyba on, bo z ich dwojga to

League został po lekcjach i gadał o czymś namiętnie z panem Buddy, oparty nonszalancko o jego biurko... ale resztkami silnej woli powstrzymała się. Spojrzała jeszcze raz na mamę, której mina wyrażała już coś więcej niż niezadowolenie i żeby uniknąć kłótni w domu (i wychowawczej pogadanki; rodzice, kiedy trzeba – albo i kiedy nie trzeba, przy czym to drugie częściej – potrafili być bardzo standardowi, tradycyjni i ich „pouczające przemowy” były tak samo irytujące jak w przypadku wszystkich innych rodziców; Cinn nie miała ochoty słuchać, że nie powinna być taka zahukana i ma się wreszcie wziąć w garść – słyszała to kłamstwo wystarczająco wiele razy, by stało się prawdą, szkoda, że ciągle w to nie wierzyła), odezwała się niechętnie:

– Słyszę wszystko, muzykę i to, co mówisz, ale tylko na prawe ucho. Na lewe nie słyszę wcale.

League zmienił miejsce i wbił się między nią a jej mamę, by być bliżej. Wyraźnie ucieszyło go, że koleżanka odpowiedziała na jego pytanie.

– Czyli to, co słyszysz dzięki aparatowi, nie różni się od tego, co słyszą inni? – zadał kolejne pytanie, na jednym wydechu, prędko, chaotycznie, jakby się bał, że Cinn zmieni zdanie i nie odpowie, jeśli nie wymyśli pytania w jak najkrótszym czasie.

Cinnamon przełknęła ślinę.

– Nie mam pojęcia. Przecież nie wiem, jak słyszą inni.

– Ale kiedyś słyszałaś normalnie. Pamiętasz coś z tego okresu?

Klaczka poczuła łzy wzbierające się w jej gardle.

Nienawidziła opowiadać o swojej ułomności. Z niechęcią rozmawiała o tym nawet z lekarzami, których odwiedzała tak często, jak inni odwiedzali babcię. Nie chciała się w to zagłębiać. Ona potrafiła być taktowna i nie pytała otyłych kucyków, jak sobie radzą, kiedy muszą wejść po schodach. Nie pytała okularników, czy naprawdę nie rozpoznaliby jej na ulicy, gdyby zabrać im szkła. Nie pytała wyłysiałych, czy to z powodu wieku czy sami się ogolili, bo przeszkadzały im włosy.

Czy to naprawdę tak trudno zrozumieć, że niektórych tematów nie należy poruszać?!

Nie odpowiedziała. Znowu z zaciętą miną odwróciła głowę, udając, że podziwia fontannę. Obok tej, na którą patrzyła – podświetlonej na fioletowo, mrugającej migotliwie przy każdym rozprysku wody – przechodziły już dziś z mamą i nie była ona tą, która podobała jej się najbardziej.

Nie chciała słyszeć gniewnego burczenia mamy, że „nie tak ją wychowała” i nie chciała też kolejnych pytań ze strony League’a.

Pytań, które, rzecz jasna, się pojawiły.

– Podobają ci się? Mnie też. Trochę to sprawia wrażenie, jakby dało się zobaczyć muzykę.

Cinnamon poczuła ścisk w gardle, kiedy doszło do niej, że swoje myśli w czasie lekcji fizyki wypowiedziała, jak widać, naprawdę głośno.

– To byłoby cudowne, prawda? – Dopytywał League, przekrzywając zabawnie głowę i nie zwracając uwagi na jej oziębłość i obojętność. – Ale ty raczej nie powinnaś na to narzekać... W sensie, osobom przygłuchym wystrzają się chyba inne zmysły?

Tego było za wiele.

Dziewczyna miała serdecznie dość tego dnia. Dość dociekliwości League'a, na pytania którego nie chciała odpowiadać, bo nikt nie chce opowiadać o tym, jak bardzo jest niedoskonały; nie chciała znosić dłużej warknięć mamy, które – o ironio! – dochodziły do jej upośledzonego ucha aż nadto wyraźnie; nie chciała wreszcie być ciekawostką przyrodniczą. Czy to takie dziwne, że nie słyszała? CZY NAPRAWDĘ ON MUSIAŁ SIĘ TAK DOPYTYWAĆ?

Nie oglądając się za siebie, ruszyła cwałem. Nie pozwoliła sobie na rzut oka przez ramię – wówczas League, ten głupi, niegodziwy League, zobaczyłby w jej oczach łzy.

Nienawidziła go za to, jak ją traktował.

Nienawidziła mamy za to, że trzymała jego stronę.

Nienawidziła siebie za to, że nie potrafiła się postawić i raz a dobrze powiedzieć mu, co sądzi o jego zachowaniu.

I tak wieczór z pięknego, przepełnionego urokiem migających fontann w cudownym, skrzącym się szronem Parku Zimowym przemienił się w beznadziejny i zwieńczony żalonym skowyt.

*

Czasami przed snem, leżąc w łóżku w głuchej ciszy, Cinnamon Cake patrzyła w sufit i zastanawiała się, jakby to było dobrze słyszeć.

Bez aparatu jej świat milknął, stawał się pusty, szary i nieciekawym. Cisza brzęczała jej w uszach (choć to niemożliwe, bo najważniejszą cechą ciszy jest to, że nic w niej nie słyhać, więc powyższe sformułowanie samo w sobie jest niepoprawne), a kłaczka patrzyła, starając się przebić wzrokiem ciemność, szukała na ścianach wzorów drobnych pęknięć, na których mogłaby skupić wzrok i usiłowała nie myśleć za dużo.

Nie, żeby jej to wychodziło.

Problem polegał na tym, że jej myśli ulatywały w różne dziwne rejony, nie pozwalając zasnąć. Wbrew pozorom Cinn najtrudniej było się wyciszyć dopiero do zdjęcia aparatu.

W dzieciństwie wszystko było prostsze. Świat miał dźwięki i jej uszy zbierały te dźwięki z łatwością. Z biegiem lat ona coraz gorzej radziła sobie z przyswojeniem tej oprawy, a świat, jakby jej na przekór, pozostał tak samo głośny, radosny i wypełniony muzyką.

Muzyka.

To było zabawne, że właśnie w niej Cinnamon odnalazła ukojenie.

Czasami dziewczyna śmiała się serdecznie, kiedy takie myśli przychodziły jej do głowy. To niepodobna, żeby głuchy kucyk zajmował się muzyką! Dziwne! Niedorzeczne! Wbrew naturze!

Dzięki bogom takie rzeczy zdarzały się w historii już wcześniej i Cinn była przez to dziwołagiem nieco mniej niż mogłaby być.

Jej związek z muzyką był *oczywisty* – od najmłodszych lat ją do tego ciągnęło. Nawet

wtedy, kiedy zaczęła tracić słuch. *Zwłaszcza wtedy.*

Czasami marzyła o tym, by *zobaczyć* muzykę. W sumie dość często wyobrażała sobie, jak ona wygląda. Nie miała spójnej wizji – raz była to delikatna, biaława mgiełka, innym razem błękitny strumień wartkiej energii. Nie chodziło o to, żeby oszukać rzeczywistość, wszak muzyka jako taka jest do słuchania, a nie do oglądania... po prostu Cinn chciała ją przeżyć w sposób *pełny*. Tak, jak inni. W swoim obecnym stanie nie mogła... może gdyby chociaż widziała to, co było niedostrzegalne dla oczu...

Ale to były tylko mrzonki i piękne, choć niemożliwe do zrealizowania fantazje.

Mimo że zawsze w jej życiu obecne były instrumenty, znaczek wyskoczył jej niedawno. Właściwie miała go od kilku tygodni. Znów wróciła myślami do wydarzeń z końca grudnia. Gdyby nie tamta wigilia... Dopiero wtedy poczuła, że naprawdę powinna robić to, co i tak robiła, ale tłumiała swoje pasje, bo wydawało jej się, że pewne osoby do pewnych rzeczy się zwyczajnie nie nadają.

Do czasu wieczery klaczka z zazdrością patrzyła na swoją młodszą siostrę, która znaczek zdobyła na początku pierwszej klasy. Po prostu pewnego dnia przyszła do domu i zawołała radosnym głosem: „Mamo, tato! Mam znaczek! Wyszedł mi podczas zawodów z okazji Dnia Sportu! Zająłam pierwszej miejsce w wyścigu!”. Przez kilka następnych dni Mel przeżyła dumnie bok, na którym widniał kucyk na torze wyścigowym przeskakujący przez płotek.

Cinn nigdy wcześniej nie czuła się równie beznadziejnie, co tamtego dnia, kiedy jej młodszą o osiem lat siostra zdobyła znaczek, podczas gdy ona swojego nie mogła się doczekać od długich, tak cholernie długich piętnastu lat.

Przeplakała kilka nocy i przywykła. A Melasa przestała się chwalić znaczkiem każdemu, kto nawinął jej się pod pęcinę, kiedy mama wzięła ją na bok i powiedziała, że powinna się pohamować, bo w tym kraju już chyba tylko Królewskie Siostry (niech rządzą po wieczny czas) nie wiedzą, że dziewczynka dostała znaczek.

Cinnamon swój talent odkryła bardzo, bardzo wcześnie – po prostu nie pozwalała sobie na myśl, że jej znaczek mógłby być związany właśnie z *tym*. To wydawało jej się tak wspaniałe, że aż nieprawdopodobne. Dziwne i niestosowne. Całe życie błdziła, mając odpowiedź tuż pod nosem... a kiedy wreszcie ją znalazła, postanowiła płynąć z prądem, dopóki strach przed nieznanym nie każe jej się wycofać – jak to miało miejsce przez te wszystkie lata, kiedy dorastała, niepewna swoich uczuć, niepewna swoich reakcji, niepewna niczego, co było z nią związane.

Gdy wieczorami patrzyła tak w sufit, ślizgając się wzrokiem po jego białej, jednolitej powierzchni, przychodziło jej czasem na myśl, że to niesprawiedliwe, że to właśnie ją dotknęła choroba.

Dlaczego ci, którzy nie kochają muzyki tak jak ona, słyszą normalnie, zaś Cinnamon musi się namęczyć, żeby dostrzec jej piękno?

W dzieciństwie, dzięki bogom, nauczyła się dobrze mówić. Potem, dzięki uporowi i namowom rodziców, nauczyła się grać na kilku instrumentach. Im bardziej głuchła, tym bardziej jej serce kraśniało, kiedy do jej ułomnych uszu dobiegały dźwięki.

Różne.

Trzaśnięcie drzwiami.

Kwilenie ptaków na gałęzi za oknem.

Grzmot.

Trzask drewna w kominku u dziadków.

To wszystko było takie oczywiste... a tylko Cinn dostrzegała w tym niewymowne piękno.

Dostrzegała, bo kiedy zdejmowała aparat, traciła to, nie mogąc usłyszeć niemal nic.

Kiedy miała gorszy okres, rozmawiała z wujem, który powtarzał jej (tuląc do siebie drobne, najczęściej drżące od stłumionego szlochu ciało siostrzenicy), że życie nigdy nie rzuci ci pod nogi więcej głązów, niż byłbyś w stanie ominąć.

Cinnamon starała się w to wierzyć.

Jedyne, czego pragnęła, to realizować się w swojej pasji, iść na studia muzyczne, a potem... co będzie potem, nieważne. Chciała po prostu obcować z dźwiękami.

Chciała być szczęśliwa.

Jak dotąd wujek miał rację. Nie było jeszcze sytuacji, z której nie dałaby rady się podnieść (choć czasem przychodziło jej to z trudem).

Początkowo nowa szkoła i tempo zmian przerażały ją, ale potem zaczęła się do tego powoli przyzwyczajać. Spodobało jej się nowe życie, chociaż było wymagające... i czasami doprowadzało ją do czarnej rozpacz.

Robiło to doskonale za pośrednictwem pewnego durnego jednorożca z klasy.

Cinnamon miała go dosyć. Po sytuacji w Parku Zimowym klaczka miała nadzieję na kilka dni spokoju, na to, że League pojmie swój błąd i po prostu zostawi ją w spokoju. To nie było takie trudne – nie podchodzić, nie zagadywać, wymieniać jedynie sztywne „cześć” na korytarzu. Dziewczyna nie rozumiała, dlaczego ogierowi tak trudno przychodzi zrozumienie takich prostych rzeczy.

Gdy razem z Myrtle wybrały się na lodowisko, on też tam był. Nie jeździł, stał oparty o bandę i przyglądał się łyżwiarzom. Ucieszył się na ich widok, chociaż uśmiech zamarł mu na twarzy, gdy oczy jego i Myrtle spotkały się. Odwrócił głowę w drugą stronę i na powrót wpatrzył się w mknące po lodzie sylwetki.

W pierwszej chwili Cinn chciała uciec, ale Myrtle (która wiedziała już, co się wydarzyło w Parku, mimo że przyjaciółka wcale nie miała ochoty jej tego mówić; klaczka nie wiedziała, jak to się stało, że w jednej sekundzie Myrtle patrzy na nią, w drugiej pyta, co się stało, bo „przecież coś się stało”, a w trzeciej Cinn opowiada jej wszystko, ze szczegółami; Myrtle miała po prostu jakiś dziwny dar, że nic nie mogło się przed nią ukryć, a przynajmniej nic, co związane było z Cinnamon) powstrzymała ją, ściskając mocno za kopyto.

– Nie zachowasz się jak tchórz – powiedziała wtedy twardo, nie pozwalając jej postąpić choćby kroku w tył. – To on powinien się stąd wynosić.

Nie wyniósł się. Stał dalej, rozparty o bandę jak hrabia na fotelu i nie wykazywał chęci do opuszczenia lodowiska tylko dlatego że przyszły na nie dwie koleżanki z klasy (w tym jedna, którą w ciągu kilku tygodni zdążył parę razy doprowadzić do rozstroju nerwowego).

Klaczki założyły łyżki i wskoczyły na lód, a Cinn uznała, że Myrtle ma rację i postanowiła, że nie będzie zwracać na League’a uwagi.

Szło jej całkiem dobrze, ale w pewnym momencie zaczął wiać mocny wiatr i dziewczynie potwornie zmarzły uszy (uroki lodowiska pod gołym niebem), więc zeszła, zdjęła łyżwy na ławce i ukryła się w budce, w której za drobną opłatą można było wypożyczyć sprzęt.

Nawet nie zdziwił jej specjalnie widok League'a, który wsunął się do środka zaraz po niej.

Nie wiedziała, co czuła w tamtym momencie. Nie chciała go widzieć i była na niego wściekła za to, że przez jego zachowanie w Parku przed własną matką wyszła na rozhisteryzowaną nastoletnią wariatkę. Po początkowej bojaźni była bojowo nastawiona i w sumie czekała, aż ogier zada kolejne głupie pytanie, za które będzie mogła wrzasnąć mu prosto w twarz, co myśli o nim i o jego manii dopytywania się, jak Cinnamon słyszy, dlaczego nie słyszy, czy słyszy morze albo spadające monety, czy widzi więcej kolorów niż inne kucyki tylko dlatego że ma upośledzony słuch, czy boi się zaczynać rozmowę, a może boi się ją kończyć, czy to jest odwracalne, a może będzie się pogarszać z wiekiem, jak u starych kucyków, czy jak się kąpie, to nie można jej wołać ani nawet pukać do drzwi, bo i tak nie zareaguje (*naprawdę* o to zapytał; pytał o takie rzeczy za każdym razem, gdy mijali się mimochodem i nie było przy niej Myrtle, pytał nawet wtedy, kiedy wyraźnie próbował się powstrzymać, bo akurat panowała między nimi niepisana cisza, pytał ustnie i na karteczkach, śląc jej liściki przez całą salę, a koledzy, przez kopyta których te wiadomości przechodziły, czytali je i chichotali pod nosem, bo to było tak głupie, że aż niedorzeczne).

Cinnamon stała więc z zawziętą miną, patrząc na League'a wyzywająco. Czekala na pytanie. Wiedziała, że ono padnie.

– Nie jest ci zimno bez czapki?

Klaczka do tego stopnia nie spodziewała się takich słów, że z ledwością stłumiła w sobie cisnącą się jej na usta wiązanekę, którą – zapobiegawczo – ułożyła sobie wcześniej w myślach.

Stała tam, w tej maleńkiej wypożyczalni sprzętu, tarasując przejście, mrugała intensywnie, starając się przetworzyć to, co przed chwilą usłyszała (a może właśnie nie usłyszała? Może aparat się rozregulował?), a kiedy w końcu doszła do wniosku, że w tym pytaniu nie ma żadnych ukrytych podtekstów i nie wykazuje ono związku z drażliwym tematem, spojrzała na League'a (który również patrzył na nią, znowu, ZNOWU przekrzywiając głowę w lewo – pompon z jego czapki zmienił położenie i zwisał pionowo, bujając się od czasu do czasu i podrygując pod wpływem ruchów właściciela czapki) i powiedziała ostrożnie:

– Nie noszę czapek.

Mogła powiedzieć, że zapomniała wziąć z domu albo że zazwyczaj jest odporna na taki mróz. Mogła powiedzieć, że młodsza siostra podkraǳła jej czapkę, żeby wykorzystać ją w jakiejś durnej dziecięcej zabawie i zgubiła ją wśród zasp. Mogła powiedzieć, że mama wpadła na „genialny” pomysł ulepszenia nakrycia głowy, żeby lepiej grzało, co oczywiście (poza efektownym wybuchem) skończyło się tym, że czapka w strzępach wylądowała w śmieciach.

Mogła powiedzieć cokolwiek, ale powiedziała prawdę. Po fakcie odkryła, że palnęła głupotę, sama się prosząc o to, by League zapytał...

– Dlaczego?

Zagryzła wargi. Co mu miała powiedzieć?

Nie noszę czapki, bo przez nią zupełnie nic bym nie słyszała. Nie noszę z tego powodu też chustek i opasek. Nie noszę żadnych nakryć głowy. Nie mogę niczym zasłaniać ucha. Nie mogę. Nie mogę.

Nie zauważyła, że jej kopytko bezwiednie sięga do głowy, przeczesując nerwowo grzywę, ale ogier był uważnym obserwatorem.

– Skoro nie słyszysz w czapce, to czemu nosisz taką fryzurę? Włosy zasłaniają twój aparat. Chyba słyszysz przez to gorzej.

Cinn roześmiała się, gdyby nie było jej niedobrze z nerwów.

Domyśl się, wrzasnęła w myślach, patrząc na League'a wyzywająco (a nie jest to łatwe, patrzeć wyzywająco, kiedy oczy ma się zaszkłone od łez, kiedy wargi drżą, a na żołądku zaciska się niewidzialna obręcz, to nie jest łatwe, kiedy twoje własne uczucia przygniatają cię, nie pozwalając reagować normalnie na sytuację, która zdarzyła się już tyle razy, że umysł powinien się już na nią uodpornić). Domyśl się, dodała ciszej, wbijając wzrok w podłogę.

Domyślił się.

– Wstydzisz się tego, że niedosłyszysz?

Cinn przełknęła ślinę. Nie mogła uwierzyć, że ogier mówi o tym tak... lekko. Od niechcenia. Jakby problemem był brak zęba na przedzie, a nie wada, upośledzenie, choroba...

TO NIE JEGO ŚWIAT MILKNAŁ PO ZDJĘCIU APARATU.

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez, ale już bez zahukania, za to z nienawiścią.

– To nie twoja sprawa – powiedziała hardo i aż przeraziła się własnego głosu. – To nie twoja sprawa – powtórzyła tak głośno, że kucyki czekające w kolejce po sprzęt obróciły się w jej kierunku, zaciekawione. – Nie cierpię tych twoich pytań. Nie znoszę, kiedy patrzysz na mnie z taką chorą fascynacją. Nie jestem małą w klatce, którą możesz sobie oglądać, bo cię zaciekawiła. Nie możesz, rozumiesz?! – Postąpiła krok do przodu, a League, jakby w odpowiedzi, cofnął się. Na jego twarzy wyraźnie malowało się zdumienie, na co Cinn zareagowała jeszcze większym gniewem. – To nie moja wina, że jestem jaka jestem! Mogę nie słyszeć dobrze, ale nie będę twoim obiektem badań! Nie będę! NIE CHCĘ CIĘ ZNAĆ!

Wyszła z budynku i pognała przed siebie, zderzając się po drodze z Myrtle, która zeszała z lodowiska, żeby jej poszukać. Nie wiedziała, co przyjaciółka do niej woła – nie wsłuchiwała się, a zresztą, wycie wiatru oraz jej szloch i tak były zbyt głośne, by z płataniny bezkształtnych, nieociosanych dźwięków wyłowić jakiś sens.

Aż dziwne, że to wszystko wydarzyło się w zaledwie kilka tygodni.

Od grudnia życie Cinn zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Podjęła kilka ważnych decyzji, zrealizowała kilka planów, osiągnęła kilka celów i po raz pierwszy od długiego czasu czuła, że przejmuje kontrolę nad własną marną egzystencją.

Znaczy – czułaby, gdyby jej głowy nie zaprzętał pewien ogier, którego istnienie malowało jej przed oczami same ponure obrazy.

Dobiegał końca drugi tydzień lutego – był piątkowy wieczór i Cinnamon siedziała w pociągu do Ponyville razem z mamą i siostrą (ojciec nie mógł jechać z nimi, wypadła mu akurat ważna delegacja, zresztą, na wizytę u teściów i tak zawsze trzeba go było zaciągać wołami; Cinn nie miała pojęcia, o co mu chodzi, babcia z dziadkiem w czasie rozmowy z nim jedynie bardzo często załamywali kopyta albo czynili uwagi na temat jego zarobków, czyli poniekąd traktowali go jak własnego syna). Melasa jak zawsze biegła w tę z powrotem, nie potrafiąc dłużej zagrzać miejsca na siedzeniu, co niemożliwie – i jak zwykle – irytowało mamę (klacz westchnęła w czasie tej podróży tyle razy, że Cinn była pewna, że jeszcze jeden oddech i płuca odmówią jej posłuszeństwa). Jechali odwiedzić dziadków – mieli zostać do niedzieli trzynastego. Początkowo Cinnamon chciała się jakoś wyłgać, ale gdy usłyszała, że na miejscu spotka się z wujkiem Poundem, który przyjechał na kilka dni, żeby pomóc ojcu uporządkować szopę na narzędzia (ze wszystkich kuców na świecie bujający w obłokach wujek był do tego zadania najmniej odpowiednią osobą – Cinn była przekonana, że ta „pomoc” skończy się tym, że wujaszek będzie szukał sensu życia w każdym zepsutym elemencie i razem z dziadkiem będą siedzieć w tej szopie od rana do nocy, nie robiąc nic konstruktywnego; lepszą kandydatką wydawała się stąpająca twardo po ziemi mama, jednak Cinnamon wiedziała, że gdyby ona wparowała do szopy dziadka i wyniosła stamtąd trzy czwarte rupieci, to byłby ostatni dzień, w którym widziałaby dziadziusia żywego, bo straszy pan z rozpaczą podciąłby sobie żyły linijką), ochoczo zabrała się do pakowania torby podróżnej. Bardzo chciała zobaczyć się z wujkiem, nie widziała go już od dłuższego czasu... No i miała nadzieję porozmawiać z nim o League'u.

Nie, żeby kolega z klasy ją interesował. Nie cierpiała go, znajomość z nim przyniosła jej więcej szkody niż pożytku i Cinnamon dałaby wszystko, żeby po jej powrocie do szkoły okazało się, że kłopot zniknął, rozpułnął się, przeprowadził wraz z rodziną do Fillydelphii, umarł (no dobra, może bez przesady, Cinn nie życzyła nikomu śmierci, nawet komuś tak upierdliwemu i pozbawionemu taktu jak League, nie była potworem, po prostu miała go serdecznie dosyć)... nic na to nie wskazywało, ale pomarzyć można.

Nie wiedziała w sumie, dlaczego chce napomknąć o nim wujowi, skoro nawet przed własną matką nie przyznała się, jakie panują między nimi relacje (choć po spacerze w parku tamtego pamiętnego dnia mama podpytała ją trochę, o co chodzi; nie, żeby Cinn powiedziała więcej, niż klacz powinna wiedzieć, ale coś, jakiś strzęp informacji, musiała rzucić, żeby chociaż w domu mieć święty spokój). Może po prostu liczyła na jakąś górnolotną, z pozoru patetyczną i kompletnie niezwiązaną z tematem uwagę o sensie istnienia i o kłódach i głazach rzucanych przez życie. Może po prostu potrzebowała usłyszeć, że wszystko będzie dobrze, a wuj-stoik uśmiechający się dobrodusznie i patrzący na nią wielkimi, brązowymi oczami, w kącikach których tańczyły drobne zmarszczki, był do tego idealną osobą.

Nikt nie umiał powiedzieć, że wszystko będzie dobrze tak przekonująco, jak wujek Pound.

Cukrowy Kącik nie zmienił się ani trochę od ostatniej wizyty Cinnamon. Klaczka zapamiętała doskonale spadzisty, nierówny dach, tandetne różowe ozdóbki z podłej jakości plastiku oraz szerokie drzwi, w lato otwarte na oścież, w zimie domknięte starannie, żeby klienci nie narzekali na przeciąg.

Za ladą krzątała się niewysoka pegaz, która przygotowywała zamówienie dla klienta, na przemian posypując latte piernikową posypką i dmuchając sobie na grzywkę, która non stop wchodziła jej do oczu.

Cinnamon odruchowo sięgnęła kopytkiem do własnych włosów, chcąc sprawdzić, czy fryzura idealnie przykrywa aparat, ale nie zdążyła, bo u szczytu schodów pojawiła się babcia Cake.

– Pumpkin! Dzieciaki!

– Mamo!

Starsza klacz z entuzjazmem zaczęła schodzić w dół po stopniach. Mama ruszyła dziarsko, żeby jej pomóc – schody były wyjątkowo wąskie.

Gdy obie znalazły się na dole, babcia Cake przygarnęła do siebie obie wnuczki i każdą – wyrrywając się Melasę oraz skrępowaną Cinnamon – pocałowała trzy razy w czoło.

– Moje wnusie – zaszczebiotała, wypuszczając je wreszcie z objęć. Przeniosła wzrok na córkę, a potem na stojącą przy wejściu walizkę. – Bierz bagaż i chodź na górę. Zjemy obiad, a potem ci pokażę półkę, którą ojciec mi zamontował w gościnnym... Żebyś ty widziała, jak on to krzywo powiesił! Zastanawiałam się właśnie, czy nie da się tego jakoś naprostować, ty jesteś jednoróżcem i znasz te wszystkie dziwne zakłęcia... to naprawdę wygląda, jakby pies naszczał...

– Mamo! – Oburzony głos mamy dotarł już do Cinnamon w formie nieco przytłumionej, bo kiedy babcia zajęta była rozprawianiem o półce, mama lewitowała zapamiętałe dwie ciężkie torby, a Melasa zaczęła pracownicę z niesforną grzywką, zagadując o darmową czekoladę, Cinn wymknęła się po cichu z cukierni i udała się na tyły budynku, do niewielkiej przybudówki, w której spodziewała się zastać dziadka... a jak szczęście dopisze, to również wujka.

Zajrzała nieśmiało przez niewielkie drzwi.

– Cinnamon, kochanie! – powiedział dziadek, zerkając na nią znad jakiejś metalowo-blaszanej konstrukcji. Klaczka nie przyglądała się dokładnie, ale wyglądało to jak połączenie koła od roweru ze szczotką klozetową. Do czego miał służyć ten zlepek rur – nie wiedział nikt, nie wyłączając prawdopodobnie samego dziadka. – Wybacz, dziecko, że nie wstanę, ale tak mi się stawy zastały, że potrzebny byłby dźwig, żeby mnie ruszyć – rzucił wesolutko wystarczająco głośno, by pobudzić nieboszczyków na pobliskim cmentarzu (dziadek również był przygłuchy, wiek stępił mu słuch, więc był jedną z niewielu osób, z którymi Cinn mogła rozmawiać swobodnie, z absolutną pewnością, że to nie ona będzie tą, która nie zrozumiała wypowiedzianej kwestii) i Cinnamon od razu poczuła się jak w domu. – Wejdz, wejdz. I zamknij drzwi. Wieje.

Dziewczyna posłusznie przestąpiła próg. W środku było chłodno, ale w porównaniu z kilkunastostopniowym mrozem panującym na zewnątrz warunki pretendowały do miana sauny. Klaczka zdążyła do połowy rozpiąć płaszcz, zanim zauważyła wujka Pounda.

Wuj siedział w kącie ze skrzyżowanymi nogami, mruczał do siebie, uśmiechał się lekko pod nosem i sprawiał wrażenie, jakby świat nie istniał, zaś to, co rysuje mu się przed oczami, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Cinnamon rozpromieniła się.

– Wujek Pound! – podbiegła do niego i nie zważając na nic wtuliła głowę w jego szeroką pierś. Ogier otworzył oczy i poczochnął jej grzywę. Klaczka roześmiała się.

– Cześć, Cynko – powiedział, po czym na powrót zamknął oczy i zastygł w poprzedniej pozycji, prawie nie oddychając. Gdyby nie poruszające się usta, można by uznać go za

marmurowy posąg. – Chcesz pomedytować ze mną?

Cinn rzuciła krótkie spojrzenie na dziadka, chcąc się upewnić, że ten nie potrzebuje pomocy. Dziadek Cake machnął tylko lekceważąco kopytem, burcząc pod nosem coś, co brzmiało jak „medytacja-sracja”... ale Cinn mogła się mylić. Taaaak, na pewno się myliła. W końcu miała niedosłuch.

Klaczka zdjęła z siebie wełniany płaszcz i wierzchni, najgrubszy sweter z szarej dzianiny, po czym zwinęła ubrania w coś na kształt siedziska i ułożyła się wygodnie obok wujka.

Uniosła do góry kopytko i zamknęła oczy, czując na swoim lewym biodrze ciepło bijące od ogiera. Przysunęła się bliżej i uśmiechnęła się lekko.

Tak, to było dobre miejsce. To było dobre towarzystwo. Właśnie tu chciała spędzić najbliższe dwa dni.

Melasa lubiła biegać, skakać, wierzgać, przeszkadzać innym, kręcić się po kuchni i generalnie robić wszystko, co wypada robić źrebięciu z poważną nadpobudliwością psychoruchową. Cinn wolała siedzieć w nieco ciemnej komórce razem z wujkiem, którego kochała ponad wszystko i dziadkiem, który tworzył jakieś dziwaczne maszyny ze starych, powyginanych kawałków blachy i po prostu – wsłuchiwać się w stuk młotka oraz szmer myśli przepływających jej przez głowę.

– Jeżeli coś cię trapi, tutaj możesz opowiedzieć o swoich rozterkach – powiedział wujek cicho, nie otwierając oczu. Cinn zerknęła na niego przelotnie – właśnie taki był wujaszek Pound. Nigdy nie zapytał prosto: „Co u ciebie słychać? Jak w szkole? Masz dobre stopnie?” – zawsze najpierw zapewnił, że Cinn może się wygadać, że z każdym problemem może do niego przyjść... często słyszała zapewnienia, że jest kochana i że to się nie zmieni niezależnie od okoliczności. Klaczka poczuła się znacznie lepiej. Chyba właśnie czegoś takiego, banalnego, a jednocześnie trudnego do wypowiedzenia na głos, potrzebowała usłyszeć.

Otworzyła oczy i przez chwilę patrzyła na to, co robi dziadek. Starszy pan skręcał właśnie ze sobą dwie blachy, sapiąc przy tym jak lokomotywa.

Odetchnęła, wracając do medytowania.

– Szkoła jest świetna – powiedziała po kilku chwilach milczenia, którego potrzebowała, by zebrać myśli. Wujek nie poruszył się, ale wiedziała, że słucha uważnie. – Bardzo się cieszę, że do niej poszłam. Czasem jest trudno, ale dużo gram, uczę się śpiewać, mimo że to trudniejsze niż sądziłam... Lubię tę szkołę. Zaczynam wierzyć, że to naprawdę dla mnie.

Wujek niemal niezauważalnie kiwnął głową.

– Ale?

Cinn uśmiechnęła się. Z wujkiem tak właśnie było – nie musiała za dużo mówić, bo on jakimś tajemniczym sposobem sam domyślał się, kiedy coś było nie tak.

Dziewczyna przymknęła powieki, układając w głowie zdania cisnące jej się na usta.

– Jest taki chłopak – zaczęła i zarumieniła się na myśl, w jaki sposób można zinterpretować taki wstęp – denerwuje mnie – dodała szybko, chcąc wybrnąć, co nie było łatwe, bo dziadek odłożył narzędzia i zaczął się jej przysłuchiwać z zainteresowaniem. Speszyło ją to, ale obecność wujka i jego łagodny oddech dodały jej otuchy. – Traktuje mnie jak okaz przyrodniczy. Ciągłe pyta o mój aparat i o to, jak słyszę... czemu *nie* słyszę. – Zamilkła na chwilę, starając się ubrać w słowa własne emocje. To, co powiedziała, nie

brzmiało źle, a zachowanie chłopaka bynajmniej nie wydawało się karygodne, raczej niegrzeczne... a przecież ona przeżywała przez niego istne egzystencjalne katusze!

Dziadek nie pozwolił jej zebrać myśli. Roześmiał się jowialnie i na powrót sięgnął po odłożony na bok śrubokręt.

– Dziecko – powiedział dobroduszenie, kiedy przestał się śmiać. – Nic dziwnego, że się dopytuje. Jest ciekawy. Ja też byłem ciekawy, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem babcię.

Dziadek rzucił wnuczce porozumiewawcze spojrzenie.

Cinnamon poczuła, że znowu się rumieni. Mocno.

– To nie tak – powiedziała i spłoniła się jeszcze bardziej, bo tylko winny używa tego głupawego, wyświechtanego frazesu. – Nie cierpię go. Chciałabym, żeby zniknął. – A potem nabrała powietrza w płuca i szybko, nie zatrzymując się (by nie zdążyć się rozmyślić!) opowiedziała dziadkowi i wujowi wszystkie sytuacje, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich tygodni.

Żaden jej nie przerwał. W czasie jej opowieści dziadek dalej dłubał w swojej konstrukcji, a wujek siedział wyprostowany jak struna w posągowej postawie, mruczając pod nosem jakieś zagadkowe inkantacje.

Gdyby Cinnamon nie знаła swojej rodziny, pomyślałaby zawiedziona, że nikt jej nie słuchał.

Dziadek dokręcił ostatnią śrubę.

– No, gotowe – powiedział z dumą i odsunął się lekko od swojego dzieła, które wyglądało dokładnie tak, jak kilka chwil wcześniej i cały czas nie przypominało niczego, co byłoby przydatne, użyteczne albo chociaż ładne. Zwrócił zielone, migotliwe oczy na wnuczkę. – Pierwsze słowa, jakie usłyszała ode mnie babcia, brzmiały: „Rany, ale masz wielki tyłek”. – Starszy pan trącił blaszane ścierwo końcem kopyta, jakby sprawdzając, czy nie rozsypie się przy byle dotknięciu. – Dwa lata później była moją żoną.

Cinn pokręciła głową. Tę historyjkę głoszone na każdym spotkaniu rodzinnym w formie anegdoty, więc klaczka znała ją doskonale. Nie wiedziała jedynie, co to ma wspólnego z nią i...

Nagle do niej dotarło. Spojrzała na dziadka z wyrzutem... i solidnym pąsem na buzi.

– No wiesz, dziadku! – wykrzyknęła oburzona. W odpowiedzi staruszek parsknął śmiechem.

– Ja i twoja ciocia też poznaliśmy się w dość... niestandardowych okolicznościach – odezwał się wujek i Cinn odwróciła się do niego, żeby zobaczyć utkwione w niej łagodne, brązowe oczy. – Początki były trudne. Nie byliśmy sobą zainteresowani. – Klaczka uniosła brwi, strzygąc uchem. Nigdy o tym nie słyszała. Wiedziała jedynie, że wujek Pound i ciocia Malina poznali się na weselu jej rodziców. Ciocię ściągnęła ze sobą na imprezę Pinkie Pie, ta sławna, zwariowana klacz, która opiekowała się rodzicami, kiedy ci byli maleńcy (słuchając opowieści o szalonych pomysłach Pinkie, Cinn nie mogła uwierzyć, że istnieje ktoś bardziej zbzikowany od jej własnej matki. I wuja. I dziadka tworzącego sztukę nowoczesną z metalowych odpadków. I generalnie od każdego członka jej licznej szurniętej rodziny). Nie miała pojęcia, że coś było nie tak, sądziła, że od razu zaiskrzyło i bum, miłość; tak to było przedstawiane, a przynajmniej tak zapamiętała.

Wujek, jakby odczytując jej myśli (on w ogóle czytał w niej jak w otwartej księdze, nie,

żeby ta sztuka nie udawała się również innym, takiej Myrtle, która po ledwie kilku tygodniach znajomości wiedziała doskonale, kiedy Cinn ma problem i dlatego ma to miejsce jakieś cztery razy częściej niż ustawa przewiduje), pokręcił lekko głową.

– Na początku nie polubiliśmy się. Byłem wściekły na ciocię Pinkie, że zaprosiła tę obcą istotę i na dodatek podsunęła mi ją jak porcję pomidorowej, mówiąc: „Bierz”. Usłyszałem, że będziemy do siebie pasować i cholernie nie chciałem się z tym zgodzić.

Cinn podrapała się po głowie.

– Ale co to ma wspólnego ze mną, wujku? – zapytała, a żeby nie wyjść na nierozumne dziecko, dodała natychmiast: – Mnie nikt nie powiedział, że ja i League do siebie pasujemy. – Przeraziła się tym, co właśnie powiedziała i zaczęła wyrzucać z siebie chaotycznie kolejne kwestie: – Nie pasujemy, bo ja nie chcę go znać. Jest złośliwy, niegrzeczny, wredny i go nie znoszę. Nie znoszę!

Wtem poczuła na ramieniu pomarszczone, żylaste kopyto dziadka.

– Pound miał na myśli – powiedział łagodnie, uśmiechając się do niej – że czasem relacje między kucykami na początku bywają trudne, ale potem układają się i wszystko jest w porządku. – Wyprostował się nieznacznie i coś strzyknęło mu w krzyżu. Dziadek syknął i sięgnął kopytem do grzbietu. – Wiedziałem, że jak raz się usadzę, to nie warto wstawać – stęknął.

Cinn zachichotała, ale humor natychmiast jej się zwarzył.

– Chciałabym tylko, żeby on był mniej okropny – powiedziała cicho, skrobiąc kopytkiem po podłodze.

Wujek zagarnął ją ramieniem i przytulił do swojego boku.

– Wiesz, Cinn – zaczął, kreśląc wolną kończyną koło w powietrzu – czasami przyjaźnie rodzą się w bólach. Któraś ze stron rani drugą, nawet jeśli nie ma nic złego na myśli. Potem jednak, po wyjaśnieniu sobie wszystkich wątpliwości, okazuje się, że warto było dać temu komuś (i sobie) drugą szansę. Ja tak zrobiłem z twoją ciocią – mrugnął i pogłodził siostrzenicę po włosach. – Inne kucyki czasami wzbudzają w nas przerażenie. Boimy się relacji, które mogą być trudne ze względu na różnice poglądów, tak samo jak boimy się najnowszych zdobyczy techniki. Przecież zawsze coś może się zepsuć, zawsze coś może zawieść – zamruczał, a jego głos podziałał na Cinn niczym kubek melisy. – Z kucykami jest jak z technologiami – nowe i nieznane sprawiają wrażenie strasznych... ale może warto przestawić myślenie i uznać to, co nieznane, za... niezwykle? Magiczne?

Cinn zmarszczyła brwi, zastanawiając się głęboko nad tym, co usłyszała. Kiedy wreszcie zdecydowała się podnieść wzrok, odkryła, że wujek na powrót zamknął oczy i wrócił do medytowania, a dziadek rozsiadł się znów przy swoim blaszanym stworze i dłuhał zapamiętałe, z wywalonym językiem, w metalowej konstrukcji.

Obaj sprawiali wrażenie, jakby tej rozmowy nigdy nie było.

Cinnamon Cake uśmiechnęła się do siebie. Właśnie za to tak ich kochała.

*

Klaczka wróciła do szkoły w zdecydowanie lepszym nastroju.

Przemyślała jeszcze raz to, co usłyszała od wujka i dziadka (właściwie myślała o tym przez cały weekend, między jednym i drugim kawałkiem drożdżówki z jabłkami i kruszonką, którą pasła wnuczki babcia) i postanowiła, że da League'owi jeszcze jedną szansę.

Może faktycznie nie miał na myśli nic złego.

Może faktycznie chciał po prostu się do niej zbliżyć.

Może faktycznie był ciekawy.

Cinn poprzysięgła sobie, że z nim porozmawia. Opowie mu o swoich uczuciach, o tym, co przeżywa jako osoba niedosłyszająca i dlaczego tak bardzo nie lubi wałkować tego tematu. Jeżeli jest rozsądny, to zrozumie i odpuści. Jeżeli nie... to nie. Więcej szans nie będzie.

To wydawało się naprawdę proste.

W sumie było. Cinnamon nie musiała się wysilać, League sam podszedł cichaczem do jej ławki podczas pierwszej lekcji (na którą oczywiście przyszedł spóźniony... Klaczka nie miała pojęcia, jak można spóźnić się na zajęcia zaczynające się – wyjątkowo, z okazji walentynek – przed dziesiątą; niezwykle *zdolności* League'a niezmiennie ją zdumiewały), w chwili, kiedy Myrtle była akurat zajęta odbieraniem walentynki od przedstawicieli Serduszkowej Poczty (mama powtarzała, że ten zwyczaj jest durny jak but, bo przyszedł od tych popaprańców zza Wielkiej Wody, a oni wszyscy są tam niedorozwinięci, nie obrażając niedorozwiniętych; Cinnamon na głos przyznawała matce rację, ale nie obraziłaby się, gdyby dostała tego dnia jakąś kartkę od Anonima, którego mogłaby sobie wyobrażać jako przystojnego, rosnącego ogiera z nienagannym uśmiechem i równo oszlifowanymi kopytkami). Szturchnął ją, wymienili spojrzenia, a na koniec zostawił na jej ławce złożony na czworo arkusz i uciekł z powrotem na swoje miejsce.

Cinnamon zerknęła jeszcze, na jakim etapie z odbieraniem przesyłki jest Myrtle, po czym, uspokojona, że to jeszcze chwilę potrwa (przyjaciółka dostała chyba z dziesięć walentynek, co zresztą nie dziwiło, bo dziewczyna była śliczna; dziwne było to, że ona niespecjalnie się z tego cieszyła i ciskała gromy w kierunku dwóch ubranych w różowe uniformy klaczek, które raz po raz wyszukiwały kolejną zaplątaną wśród korespondencji kartkę do niej), rozwinęła papier.

Myślałem dużo o tej ostatniej sytuacji i chciałem Cię przeprosić. Nie miałem pojęcia, że moje pytania Cię obrażają i że czujesz się źle z mojego powodu. Uświadomiła mi to dopiero Twoja reakcja (i kopyto Myrtle wymierzone w moją twarz... pogratuluj jej, ma naprawdę niezłe przyłożenie. Niech żałuje, że mój ojciec jest świetny w magii leczącej i limo spod oka zeszło mi w ciągu weekendu, pokazałbym jej, jaką mi nabiła piękną śliwę). Nigdy nie zamierzałem Cię urazić.

W ramach przeprosin chciałbym Cię zaprosić dziś wieczorem do siebie do domu. Mam sprawę. Adres na dole.

L.

– Co za palant!

Cinn zgarnęła kartkę i odruchowo schowała ją pod ławkę. Spojrzała w górę na

przyjaciółkę i zarumieniała się. Miała wrażenie, że dała się przyłapać na czymś niestosownym.

Myrtle osunęła się ciężko na krzesło obok niej, rzucając na blat plik kartek w kopertach w róże i serduszka. Cinnamon chciała ją zapytać, czy ma je zamiar chociaż przejrzeć, ale powstrzymała się.

Do pocztylionów w debilnych uniformach podchodził właśnie kolejny wywołany uczeń.

Zielona klaczka spojrzała na Cinn uważnie.

– Będiesz głupia, jeżeli tam pójdziesz – powiedziała najpoważniejszym głosem, jaki żółta klacz w życiu słyszała.

Dziewczyna przygryzła wargi i rzuciła jeszcze jedno, nieśmiałe spojrzenie na przyciśnięty do podółka pomięty skrawek papieru.

Wszystko wskazywało na to, że jest bardzo, bardzo głupia.

*

Cinnamon przemierzała ulice Manhattanu, zastanawiając się, czy to, co robi, aby na pewno jest właściwe.

Postanowiła dać League'owi jeszcze jedną szansę. Nie wszystko, co źle się zaczyna, musi się tak kończyć, a wszystko, co jest zbyt skomplikowane, żeby to pojąć, należy przyjmować pozytywnie, a nie bać się, że zaraz wybuchnie. (Wyjątek stanowiły eksperymentalne mikstury matki – tego nie dało się ogarnąć rozumem i nie należało pod żadnym pozorem podchodzić do tego pozytywnie, entuzjastycznie i z nadzieją, że nie wybuchnie. Po pierwsze, nie należało do tego podchodzić *w ogóle*, a po drugie, ryzyko, że to coś faktycznie wybuchnie, oscylowało w granicach stu procent.)

Odnalazła osiedle, na którym mieszkał ogier i przemknęła się między blokami, szukając odpowiedniego numeru na ulicy Agrestowej.

Gdy już chciała zapytać kogoś o drogę, pewna, że zabłądziła (ta numeracja była dziwna i na pewno odpowiedzialność za to ponosił jakiś pijany architekt), usłyszała swoje imię dobiegające gdzieś zza pleców.

– Cinnamon! Cinnamon Cake! Tutaj!

Odwróciła się i zobaczyła League'a, który machał do niej przed drzwiami klatki schodowej.

– Wchodź, wchodź – powiedział, zapraszając ją gestem do środka i otulając się ciasniej kurtką, której nawet nie zapiał. Lodowato było jak czort i wiatr co chwila mierzwił mu włosy. Ogier szczekał zębami z zimna. – Jeszcze sekunda i tu zamarzniemy. Gratuluję trafienia za pierwszym razem, tę numerację bloków ustalał jakiś pijany architekt...

Klaczka stłumiła chichot i dała się poprowadzić na trzecie piętro. Chłopak otworzył drzwi i puścił ją przodem.

Mieszkanie było schludne. Od progu przybyszów witał wysprzątny na błysk przedpokój, a dalej widać było duży pokój gościnny. Za nim znajdował się jeszcze jeden pokój, o czym Cinn przekonała się, zapuszczając żurawia w głąb mieszkania.

League przestąpił z nogi na nogę.

– To... czego się napijesz? Herbaty, soku?

Cinnamon zdjęła szalik i wepchnęła go w rękaw płaszcza.

– League, daruj sobie – powiedziała trochę bardziej szorstko niż zamierzała. Zganiła się w myślach: „Miałas dać mu drugą szansę. Bądź miła”. Odetchnęła głęboko i złagodziła nieco ton: – Po co mnie zaprosiłeś? Co to za sprawa?

League pokiwał głową, jakby zastanawiając się, co powiedzieć. Wydawał się zdenerwowany.

– Właściwie... – zaczął, pocierając nerwowo nogą o nogę. Cinnamon pierwszy raz widziała, żeby tak się stresował. Żeby to ON się stresował w jej obecności. – Najpierw chciałem porozmawiać... chciałem cię przepro... – Dostrzegł surowy wzrok klaczki i odchrząknął. – Chodź do mojego pokoju. Chciałbym ci coś pokazać.

Cinn uniosła brwi, ale podreptała posłusznie za gospodarzem.

League przepuścił ją w drzwiach, wskazał miejsce, by mogła usiąść, a sam podszedł do meblościanki („Kto w dzisiejszych czasach ma meblościankę?” – zmarszczyła nos Cinn) i przez chwilę grzebał w szufladach, wyraźnie czegoś szukając. Znalazł to wreszcie i odwrócił się do klaczki, która czekała cierpliwie na rozwój wydarzeń.

Położył jej na podolku małe, drewniane pudełko.

– Co to jest? – zapytała zaskoczona.

– Poczekaj. – League machnął głową, a jego róg, do tej pory nieaktywny, zajarzył się fioletową aurą. Po sekundzie światło w pokoju zgąsło. Cinn wzdrygnęła się. – Otwórz, ale najpierw musisz nakręcić.

Cinnamon mrugnęła oczami i spojrzała na pudełko. Zrozumiała, że ma przed sobą...

– Pozytywka? – zapytała, a League w odpowiedzi pokiwał głową, a przynajmniej tak jej się wydawało, bo w pokoju panowały niezmiernie ciemności. Klaczka zerknęła w dół jeszcze raz, wymacała na bocznej ścianie kluczyk i przekręciła go parokrotnie, po czym otworzyła wieko.

Nie usłyszała muzyki i w pierwszej chwili ją to zdezorientowało. Pomyślała, że coś zrobiła źle (to nie było takie nieprawdopodobne, w jej kopytach wiele rzeczy nagle i bez powodu ulegało całkowitemu, nieodwracalnemu zniszczeniu), ale wtedy, jak na zawołanie, coś zaczęło się dziać.

Rozbłyśły światła.

Cinnamon patrzyła z niedowierzaniem, a potem z fascynacją na to, co się dzieje we wnętrzu małego, drewnianego pudełka.

Małeńkie lampki przytwierdzone w środku rozpały się i gasły w równym tempie. Tworzyły świetlną falę, która rozchodziła się promieniście do wszystkich boków albo wędrowała od jednej krawędzi do drugiej. Czasem światło rodziło się na brzegach i biegło do środka, by tam spotkać się i rozbłysnąć jednym wielkim, centralnym blaskiem; zaraz potem rozpięzchało się na boki, niknąc gdzieś w rogach pudełka.

A potem światło zaczęło tańczyć.

Cinn patrzyła na ten piękny spektakl jak zahipnotyzowana, a kiedy światła zaczęły

zmieniać barwy, prawie krzyknęła z szoku.

Minęła minuta, zanim pojęła, co się dzieje.

Pozytywka... powinna grać muzykę. Zamiast tego mrugała światłami.

Przez pudełko przetaczał się właśnie niebieski grom. Jego ciemna, głęboka, prawie granatowa barwa przywodziła na myśl uderzenie w klawisze fortepianu – mocne, z impetem, dające mrukliwy pogłos. Światło zafalowało granatem i rozeszło się na boki, tak jak dźwięk pianina rozchodzi się w powietrzu, zostawiając po sobie dziwną, drżącą pustkę.

Potem światło zmieniło kolor na zielony. Drobnymi, ostrymi mignięciami kłuło boki pudełka, poruszając się zygzakiem po całej jego powierzchni. Cinnamon usłyszała w głowie skrzypce – cienki, wysoki dźwięk wywołany szybkimi pociągnięciami smyczka. Światło było jaskrawe, jak dźwięk tego instrumentu – wyrazisty i dobry, taki, od którego dreszcz przebiega po grzbiecie, świeży jak wiosenna trawa... zielony jak wiosenna trawa.

Kolejny był oranż; pomarańczowe kółka, przechodzące od czasu do czasu w łagodną, subtelną czerwień, krążyły po pudełku, nachodząc na siebie i tworząc drobne wiry, a całość wyglądała tak, jakby ktoś puszczał kaczki na spokojnym stawie. Czerwono-pomarańczowy kolor odbijał się w oczach Cinn, a w jej głowie pobrzmiwały uspokajająco-energetyczne dźwięki gitary akustycznej. Klaczka roześmiała się w duchu, gdy dotarł do niej powyższy oksymoron, ale gitara taka właśnie była – z jednej strony spokojna, o głębokiej, przyjemnej barwie, z drugiej – ożywcza jak wiatr buszujący po polach w środku lata.

Kolor zmienił się znowu – zjaśniał znacząco, ale nabrał mocy, stał się żółty, mocny i opalizujący. Światło drgało gwałtownie, a Cinnamon patrzyła na jego pulsujący rytm, słysząc w głowie dobitny, ostry, przeszywający dźwięk trąbki. Im światło szybciej się poruszało, tym głośniej grała trąbka.

Po koncercie dętym barwa wyblakła – światło już nie mrugało, blask stał się ledwie wspomnieniem; teraz fala przybrała kolor jesiennej mgły – delikatnej, niemal niedostrzegalnej, sunącej powoli od jednego punktu do drugiego. Od czasu do czasu światło błysnęło mocniej, ale nie tak jak w przypadku trąbki – to był inny blask; Cinnamon dała się ponieść wyobraźni i usłyszała w głowie spokojny, stosowany, ale wyraźny pośród ciszy nocy dźwięk dzwoneczków poruszanych przez łagodny podmuch. Niemał czuła ten powiew na grzbiecie. Niemał słyszała tę muzykę.

Słyszała?

Nie.

Ona ją *widziała*.

Nagle światła zgasły.

Zamrugła zdziwiona, kiedy to wszystko zniknęło nagle – i błyski dochodzące z pudełka, i muzyka tętniąca jej w głowie.

League włączył górną lampę i Cinn ujrzała jego twarz – patrzył na nią nieśmiało, na przemian przygryzając wargi i uśmiechając się lekko, z ociąganiem. Wyglądał trochę tak, jakby bolał go brzuch.

– Ja... – zaczął, po czym zrobił kopytem nieokreślony gest. – Po prostu... – rozejrzał się po pokoju, unikając jej oczu. W końcu poddał się i zarumieniony spojrzał hardo w jej twarz. – Usłyszałem, jak na tamtej lekcji fizyki powiedziałaś, że chciałabyś zobaczyć muzykę... Chciałem cię przeprosić za te wszystkie głupie pytania i pomyślałem, że to będzie dobry

sposób... ale musiałem pytać. Chciałem... chciałem po prostu... – znowu się zaciął, mierzwiąc sobie włosy i wyraźnie nie wiedząc, co powiedzieć. Cinn czekała cierpliwie. – Chciałem wiedzieć. Najpierw kierowała mną ciekawość, a potem musiałem dopytać, żeby wiedzieć, jak *to* – wskazał kopytkiem na pozytywkę – zrobić. Żeby wyszło jak najlepiej. Pracowałem nad tym przez dwa tygodnie, dużo było roboty... Dzisiaj spóźniłem się do szkoły, bo kończyłem projekt, siedziałem nad tym całą noc... Chciałem zdążyć na walentynki, bo... – zaczął bezwiednie drapać się po szyi. Kolejne słowa wypowiedział tak cicho, że Cinn przez chwilę sądziła, że się przesłyszała: – Kiedy zobaczyłem cię pierwszego dnia, od razu mi się spodobałaś i chciałem cię lepiej poznać. Wybacz, że wybrałem taki głupi sposób. – Odchrząknął, próbując stłumić rumieniec. Klaczka nawet nie starała się zrobić tego samego ze swoim, wiedziała, że nie warto. League spojrział na nią pogodnie i wrócił do wcześniejszego wątku: – Z tymi pytaniami... Musiałem się wczuć w twoją sytuację. Oczywiście wiem, że to niemożliwe, nie miałem na myśli, że... – zaplątał się we własnych słowach, a Cinnamon roześmiała się.

Ogier spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Nie... nie jesteś na mnie zła? – zapytał z nadzieją.

Klaczka nie patrzyła na niego; wzięła pozytywkę w ramiona i przytuliła jak niemowlę.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała.

League poczochnął się po grzywie.

– Uch, to było dość skomplikowane... Podoba ci się?

– To była... – Cinn zastanowiła się przez chwilę, po czym dokończyła z uśmiechem: – Magia. Czysta magia.

– Właściwie, zastosowałem tutaj mechanizm luźno oparty na rurze Rubensa. Wybebeszyłem to trochę, pozamieniałem wałki, dodałem żarówki, potem przez kilka wieczorów bawiłem się odpowiednimi zaklęciami... Ta książka polecona przez twoją mamę naprawdę mi pomogła.

Cinn uniosła brwi.

– Książka?

– No, tak – odparł League. – „Magia praktyczna w urządzeniach codziennego użytku”. Ta, o której rozmawialiśmy w parku, nie mogła sobie przypomnieć tytułu... Nie pamiętasz?

Cinn skinęła powoli głową. Tak, zgadza się – to było wtedy, kiedy, zacierzewiona, szła z boku, głucha i ślepa na otaczający świat i na osoby, które idą przy jej boku.

League podrapał się za uchem.

– W każdym razie – podjął wątek – kilka razy byłem też u pana Buddy’ego, raz nawet po tamtej lekcji o dźwiękach, rozmawialiśmy o rozchodzeniu się fal... i o tym, czy taki wynalazek ma w ogóle rację bytu. Sporo mi podpowiedział, bez niego by się to nie udało. Sam nie wiem, jak to zrobiłem tak, żeby działało – roześmiał się figlarnie.

Cinn dołączyła do niego.

– Może kiedyś wytłumaczę ci dokładnie, na czym to polega – mrugnął do niej. – Dalej mam plany w biurku.

Klaczka pokręciła głową.

– Nie trzeba, i tak nie zrozumieć ani słowa. Dla mnie to po prostu magia.

League uśmiechnął się marzycielsko.

– Każda wystarczająco zaawansowana technologia jest nieodróżnialna od magii, czyż nie? – zapytał wesoło. – Zależy jeszcze, co dla kogo jest zaawansowane...

Przez chwilę panowało milczenie, po czym Cinnamon powiedziała spokojnym głosem:

– Mógłbyś zgasić światło?

– Yyyy... – League wydawał się zaskoczony, ale pokiwał posłusznie głową: – Jasne.

Górna lampa zgasła.

Cinnamon sięgnęła kopytkiem do swego ucha i jednym ruchem odgarnęła zdecydowanie zbyt długą grzywkę.

– Co robisz? – zapytał z ciekawością towarzysz.

– Wyłączam aparat – wytłumaczyła, a widząc zdziwienie na twarzy rozmówcy, dodała: – Chciałabym to zobaczyć jeszcze raz... w całkowitej ciszy.

League kiwnął ze zrozumieniem głową. Cinn, dostrzegając jego nieme przyzwolenie, wcisnęła wyłącznik przy urządzeniu na swoim uchu, po czym ponownie nakręciła pozytywkę i uchyliła jej wieko.

Spektakl rozpoczął się na nowo.

Cinnamon zwykle nie lubiła ciszy. Przerażała ją, mimo że przez te wszystkie lata do niej przywykła. Tym razem jednak było inaczej. Siedziała nad piękną pozytywką, której działania nie rozumiała i która stanowiła najwspanialszy prezent walentynkowy, jaki kiedykolwiek dostała – i czuła się tak po prostu, zwyczajnie szczęśliwa.

I miała obok siebie ogiera, który nie okazał się wcale taki zły.

Czasem na to, co nieznane i skomplikowane, trzeba patrzeć z optymizmem, żywiąc nadzieję, że jest w tym jakaś magia.

Oderwała na sekundę wzrok od świateł i zerknęła w górę, na League'a, który poruszał ustami, jakby coś mówił. W pokoju było zbyt ciemno, więc nie mogła nic odczytać z ruchu warg.

Nie słyszała słów, ale wystarczająco wymowny był dotyk jego nosa na jej policzku.

Nie słyszała jego oddechu, ale czuła dudnienie serca, gdy ich ciała się zetknęły.

Cisza, która ją ogarnęła, jeszcze nigdy nie była tak kojąca.